AS
Nr. 31
30 LIPCA 1939 ROKU
CENA 40 GROSZY



SPOJRZENIE SENTYMENTALNE
Joan Bennett — Fot. Francis Fuerst

Pêle Mêle

„Chciałabym być piękną!“ Wieleż kobiet tak wzdycha siedząc przed lustrem!

W Londynie nad Bond Street jest salon piękności prowadzony przez Ern Westmore'a. Jest to sławna w fryzjerskim fachu rodzina: jeden brat szminkuje i fryzuje gwiazdy u Warner Brothers First National, ojciec dba o wygląd sław Metro-Goldwyn-Mayer, a sam Ern dopiero po wielu latach pracy w Hollywood osiadł w Londynie. Otóż tenże Ern rzucił raz redakcji jednego angielskiego magazynu dumne wezwanie: „Chciałbym zobaczyć taką kobietę, z której nie potrafiłbym zrobić uroczej dziewczyny“! Wezwanie zostało podjęte. Wspólnie wybrano jakąś pływaczkę pozbawioną rysów i wdzięku — posadzono ją na fotelu Salonu „Westmore'a“ i mistrz wziął się do pracy. Chwila studjowania potem „permanentka“, uczesanie, rysowanie brwi, cieniowanie twarzy, manucure, etc. Zabrało to 3 i pół godziny czasu, ale też i skutek był nadzwyczajny! Z fotelu wstało zupełnie inne stworzenie: oczy nabrały blasku, usta ciepła, twarz wyrazu, a całość tchnęła życiem i wdziękiem! Koszt takiej „operacji“ wynosiłby około zł. 90. Pacjentka jednak okazała dużo zdrowego rozsądku: bo przyznała wprawdzie, że Mr. Westmore ma niezwykły talent, ale nim wróciła do męża starła cały „make up“ i zachowała tylko fryzurę. — A morał z tego zdarzenia? Właściwie dość niemoralny, bo okazuje się, że jednak dużo znaczy pieniądz, no i... sztuka używania go!

Pieniądz! Przypomina się historja Snite'a syna miljonera amerykańskiego, w której też pieniądz odegrał dużą rolę. Fred Snite, dwa lata temu, podczas podróży naokoło świata, w Pekinie dostał paraliżu dziecięcego. Na szczęście w szpitalu Pekińskim był słynny od tego czasu aparat „Żelazne płuca“. Jest to duży walec, w którym leży chory, a zmiany ciśnienia wewnątrz umożliwiają ruchy klatki piersiowej. I tu pieniądz uratował młode życie: zastosowanie aparatu, przewiezienie do Ameryki, kuracja i td. pochłonęły w pierwszym tylko roku choroby, miljon paręset tysięcy złotych! Obecnie zdrowie syna o tyle polepszyło się, że może raz na dzień na jakie 20 minut opuszczać aparat. Przy chorym czuwają stale: inżynier pilnujący pracy aparatu, doktor, pielęgniarka i rodzice. Tryb jego życia jest ciężki, ale umożliwiają choremu rozrywki, bo może grać w karty lub w szachy. Leży twarzą do góry, naprzeciw ma umieszczone skośnie lustro, pielęgniarka trzyma karty, reszta partnerów siedzi za nim przy stole i Fred może dyktować przebieg gry. Pozatem podróżuje (był również w Lourdes) i znosi swoje cierpienia z takiem poddaniem i hartem ducha, że niedawno spotkałem się w jednem piśmie angielskim z listem podobnie chorego chłopca, który Fredowi dziękował za to, że jego cierpliwość dodała mu otuchy i pozwala mu teraz lepiej znosić chorobę.

A kto wynalazł ten cudowny aparat? Anglosasi twierdzą, że Filip Drinker z uniwersytetu w Harward. Nazwany został tam „Drinker Respirator“ i kosztuje paręset tysięcy złotych. Francuzi znów wysuwają inne nazwisko i to zdaje się nawet słusznie. Oto już w 1876 r. dr. Woillez z szpitala „Charité“ wynalazł podobny aparat i nazwał go „Spirophorem“. Niestety nie wziął patentu na swój genjalny pomysł i dlatego nietylko nie miał z tego żadnych korzyści, ale nawet jego nazwisko nie każdemu jest znanem.

Gdy już mówię o zbawczych wynalazkach to wspomnę o jeszcze jednym. Wszystkich przejął los biednych marynarzy z amerykańskiej łodzi podwodnej „Squalus“ i angielskiej „Thetis“. Z tej pierwszej uratowano więcej ludzi dzięki odpowiedniemu urządzeniu. Opiszę go pokrótce: łódź podwodna ma u góry szczelnie zamknięty okrągły otwór — właz z kołnierzem. Gdy łódź osiadła na dnie, ratowniczy okręt podjeżdża do tego miejsca i opuszcza dzwon. Dzwon ten kształtu gruszki ma średnicy około 3 metry, a wysokość około 6 metrów i waży jakie 10 ton. W połowie — w poprzek — przedzielony jest podłogą z zamykanym pośrodku otworem. Nad podłogą ma niewielkie komory z wodą służące jako balast. Od dołu jest otwarty i w ścianach dolnej kondygnacji ma otwory. Ratowanie odbywa się w następujący sposób: dzwon opuszcza sę na linach na łódź — jak najbliżej otworu. Góra wtedy dzwonu jest próżną, a dół pełen wody. Potem opuszczają się nurkowie i ustawiają dzwon dokładnie nad kołnierzem włazu. Za pomocą zgęszczonego powietrza wyrzuca się przez otwory wodę z wewnątrz dolnej kondygnacji. Wtedy zewnętrzne ciśnienie wody morskiej przyciska silnie i szczelnie dzwon do łodzi. Otwiera się klapę włazu, rozbitki wchodzą do wnętrza dzwonu, przez otwór w podłodze górnej kondygnacji aż do góry dzwonu. Zamyka się szczelnie drzwi przegrody i wpuszcza wodę do dolnej części dzwonu. Ciśnienie wyrównuje się i dzwon można wyciągać do góry. Jeżeliby wyciąganie trwało za powoli to poprostu opróżnia się balast.

Że pocałunek jest rzeczą przyjemną — każdy o tem wie, ale że nawet zimnokrwiste ryby mogą o tem coś powiedzieć, to dla wielu będzie nowością! Pewien gatunek rybek z Borneo żyje parami i większą część życia spędzają one przyciskając do siebie swoje pyszczki. Dramat zaczyna się wtedy, gdy jedna z rybek nagle odejdzie w zaświaty, bo wtedy druga z tęsknoty w niedługim czasie idzie w ślady towarzyszki. Jest to — mimo całej romantyczności — poważna strata dla hodowców, bo rybki te nie są bynajmniej tanie, więc rada w radę wynaleźli sposób na utrzymanie przy życiu drugiej połowy pary rybek. Poprostu wstawiają do akwarjum lustro i rybka podpływa do swego odbicia przylega pyszczkiem i zadowolona — istny Narcyz — trwa w zachwycie, nie odczuwając zamiany!

Niejedna elegancka dama chciałaby mieć własną drewnianą lalkę, by nie być zmuszoną przymierzać osobiście suknię u krawcowej. Szablonowe lalki nie są jednak dokładne. Dorette Saltzman w Los Angeles wpadła na prosty sposób. Oto owija ona ciało klientki taśmami, potem spaja taśmę klejem w jedną całość. Następnie przecina taki pancerz nożyczkami. zdejmuje i z powrotem spaja, tak że piękna pani ma już lalkę o kształcie odpowiadającym jej figurze. Proste jak każdy genjalny pomysł!

Dzielna pani Roosevelt nie potrzebuje zazdrościć swemu mężowi dochodów: przemawianiem do radja zarabia 720.000 dol. rocznie, bo płacą jej 300 dol. za 1 minutę. Gdy mowa o zarobkach przypomnijmy: Lindberghowi ofiarowywano dwa miljony dolarów za opis jego samotnego przelotu przez Atlantyk w 1927 r. — odrzucił jednak tę zdawałoby się ponętną ofertę. Książka miała mieć 50.000 słów.

Dawno już interesowało uczonych pytanie, jak my widzimy świat. Czy takim jakim jest w istocie, czy też inaczej. Na uniwersytecie w Innsbrucku przeprowadzono szereg interesujących doświadczeń, które wykazały, że nie to jest ważnem co my „widzimy“ (co pada na siatkówkę oka), ale kieruje nami suma zebranych doświadczeń. Dano ochotnikowi studentowi specjalnie szlifowane okulary do noszenia. Widział on przez nie fałszywie, bo wszystkie linje prostopadłe były wygięte w prawo, a poziome np. podłoga, były przesunięte do góry. Początki były opłakane, student dostawał nudności, padał, nic nie mógł uchwycić ręką itd. Po dwóch dniach jednak zaczął się już przyzwyczajać, a po 5 obracał się w swoim „spaczonym“ świecie doskonale, mógł chodzić, ba nawet oddawać się sportom! Potem zdjęto mu okulary. Wtedy zaczęły się jego męki na nowo, znów nudności, wywracania się i wszystkie poprzednio przeżyte trudności. A po kilku dniach znów wszystko się ułożyło. Czyli? tak jak powiedziałem — obojętnem jest co się „widzi“ — grunt to doświadczenie!

Czasy nie są pewne i niejedna z wysoko postawionych osobistości przebywających w krajach, gdzie kule lekko siedzą w lufach, stara się zabezpieczyć przed jakimś „wypadkiem“. W Londynie jest firma Wilkinson na Pall Mall, która wyrabia kuloodporne kamizelki dla pań i panów. Kamizelki można zresztą wypróbować na miejscu w strzelnicy. Są one tak dopasowane, że zupełnie nie wpadają w oko, a panie mogą je nosić do eleganckich kostjumów. Dla panów wyrabia się też i kuloodporne kapelusze. O takich kamizelkach słyszało się zresztą już i przed wojną. Były one jednak wówczas zawodne.

Cudne są kropelki rosy mieniące się na kwiatkach w promieniach wschodzącego słońca. Poeci wypisali morze atramentu na ten temat, a malarze też nie pominęli tego tematu. A propos: pamiętam obraz malarza holenderskiego w Louvrze, gdzie na liściach są kropelki rosy, a w jednej z nich wmalowana drobna muszka. Obraz taki podpada pod specjalny rodzaj skrajnie realistycznego malarstwa zwanego „trompe l'oeil“ = złudzenie oka. Na takich obrazach przedstawione rozmaite przedmioty z nieprawdopodobną wprost dokładnością. Artyzm? Chyba tylko szczyt techniki. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że pod rodzaj „trompe l'oeil“ nie podpadają obrazy, w których kompozycji pewne tylko akcesorja (suknie n. p.) są tak dokładnie wykonane, że nawet pod powiększającem szkłem jeszcze przybywa szczegółów. Ale wróćmy do rosy, od której zacząłem. I do tego dobrał się ołówek uczonego! Niemiecki badacz dr. Leich postawił sobie pytanie wiele też rosy opada dziennie na ziemię? Wziął płaską szufladę blaszaną napełnił hygroskopijnym (chłonącym wodę) materjałem, zważył na sucho, a potem łącznie z rosą. Doszedł dalej do wniosku, że w stosunku do gołej ziemi pole koniczyny otrzymuje 2,5 razy, buraki 6, a kartofle 7 razy więcej rosy. Przekonał się, że jedna noc sierpniowa daje 9000 litrów rosy na jeden hektar ziemi. W ciągu całego sierpnia zmierzył ilość rosy i opadów deszczowych i stwierdził, że jednak ilość rosy wynosi 20 procent tej wody którą daje deszcz, a w ciągu całego roku 10 procent.

Dużo się słyszy teraz o Mołotowie. A o jego żonie? Jest ona też bardzo znaną osobą, coprawda tylko w Rosji. Kieruje bowiem całym przemysłem kosmetycznym u Sowietów. Nie jest to mało, bo pod jej władzą znajduje się 17 dużych fabryk. Ona pierwsza powiedziała: „Produkty upiększające to nie zbytek, to jest konieczność“, a kiedy indziej znów tak określiła swą pracę: „Mąż mój pracuje nad duszami, a ja opiekuję się twarzami!“ Tak jest, natura ludzka jest zawsze pomimo wszystko, ta sama czy w krajach „zgniłej burżuazji“ czy w „postępowych“ republikach. Wszędzie i zawsze kobiety mówią sobie: „róbmy co możemy, by jak najładniej wyglądać“!

Jerzy Dołęga Lewandowski.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.
CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 31 | **Niedziela, 30 lipca 1939** | **Rok V**

ASY NUMERU 31-GO:



Lato jest sezonem wszelakich „wymiennych" wycieczek. Ludzie miast przenoszą się na „łono przyrody", zaś mieszkańcy wsi chętnie odwiedzają miasta, porty, będące dla nich nieraz terenami nieznanych przedtem wrażeń. Na zdjęciu: Grupa duńskich chłopów w narodowych strojach, obserwujących z zainteresowaniem życie w wielkim porcie.

Zachowanie uroku starych miast polega na umiejętnem dostosowaniu wymogów nowoczesnej urbanistyki do romantyki minionych stuleci. Lublin, mogący śmiało rywalizować pod względem swego wieku z najstarszem miastem, stolicą duchową Polski, Krakowem, należy właśnie do rzędu takich miast.

Początki Lublina toną w mrokach przeszłości dziejowej. Wiadomem jednak jest, że już w okresie ustroju rodowego istniało na miejscu dzisiejszego miasta, na jednem ze wzgórzy, grodzisko. Założycielem tego grodziska miał być mityczny Lubło, czy Lubla, od którego poszła późniejsza nazwa miasta.

Już za czasów pierwszych Piastów miało ono duże znaczenie w szerzeniu wiary chrześcijańskiej na ziemiach Polski. Z tego okresu pochodzi kościół św. Michała, najstarsza świątynia Lublina, obecnie nieistniejąca, która stała na t. zw. Czwartku.

W rozwoju miasta specjalne znaczenie mają dwie daty. Jedna, to rok 1317. Kiedy to zasadźca Maciej z Opatowa otrzymał od Władysława Łokietka dokument lokacyjny, wyznaczający grunta na założenie miasta według prawa magdeburskiego. Od tego czasu miasto rozpada się na dwie części: jedna, dawny gród, pozostający pod władzą kasztelana mianowanego przez króla, druga, zapoczątkowana przywilejem z roku 1317, mająca samorząd, na czele którego stał wójt, początkowo dziedziczny, następnie obieralny.

Drugi moment, to rok 1341, w którym najazd tatarski niszczy nowopowstałe miasto, wskutek czego z rozkazu Kazimierza Wielkiego obwarowano je obronnemi murami z dwiema bramami: Krakowską i Grodzką, strzegącemi miasta przed najazdami Prusaków, Jadźwingów, Litwinów, Rusinów i Tatarów.



Na prawo: Lublinianka w ludowym stroju krzczonowskim.

LUBLIN MIASTO UNJI Z LITWĄ I RUSIĄ



Portyk kościoła katedralnego.



Plac Władysława Łokietka. W głębi fasada ratusza.



Mury te zapewniają bezpieczeństwo rozwojowi miasta, którego naturalne położenie na szlaku handlowym od morza Czarnego do Bałtyku, oraz posiadanie przywileju składu zmusza wszystkich kupców do zatrzymywania się w niem przez przeciąg dziesięciu dni i wystawiania swych towarów na sprzedaż. Dzięki temu rośnie zasobność miasta i staje się ono w ciągu XV i XVI wieku jakby stolicą dwóch połączonych narodów polskiego i litewskiego oraz ośrodkiem kultury polskiej.

Tutaj odbywają się świetne zjazdy szlachty polskiej i litewskiej, huczne festyny i bale z okazji goszczenia poselstw państw obcych, a zwłaszcza w czasach Zygmunta Augusta, który to miasto szczególnie sobie upodobał.

Wtedy książe Roman Sanguszko po swem zwycięstwie pod Ułą nad Moskwą odbywa triumfalny wjazd, prowadząc wziętych do niewoli wojewodów carskich Welaminów, kniaziów Szczerbatowa, Bariatyńskiego i wielu znakomitych bojarów.

Lublin był drugiem miastem obok Kra-

Kwiaciarka na placu litewskim.

Stosunki te ulegają zmianie dopiero w ciągu XVIII wieku.

Komisja „Dobrego Porządku" z Kajetanem Hryniewieckim na czele wydaje przepisy względem „ochędostwa i porządku nakazując, aby trzymający traktjernie, bilardy, garkuchnie w czasie ciemnych nocy trzymali przed domami dla oświetlenia ulic kaganki, lampy lub świece w latarniach", a równocześnie zobowiązuje właścicieli kamienic do usuwania błota z ulic.

O świetnej przeszłości „miasta unji z Litwą i Rusią" świadczą liczne zabytki. Jeszcze dziś, idąc przez ulice Lublina, na każdym niemal kroku spotykamy dużo pamiątek, mówiących nam o minionych czasach. Szczególną wymowę mają kościoły, klasztory i pałace możnych panów polskich, którzy niejednokrotnie odgrywali wielką rolę w historji Polski. Do takich należą rodziny Czartoryskich, Jabłonowskich, Potockich, Sapiehów, Radziwiłłów i Sobieskich. Wszyscy oni mieli tutaj swe pałace, które dotychczas zachowały ślady swej świetności w postaci do-



Plac Władysława Łokietka i Brama Krakowska.



Na prawo: Wieża bramy trynitarskiej.

kowa, gdzie buta niemiecka i pycha germańska musiała upokorzyć się przed królem polskim, kiedy książe pruski Albrecht Fryderyk składał przysięgę lenniczą, klęcząc przed królem polskim Zygmuntem Augustem, a obecni przy tem posłowie Hohenzollernów przez dotknięcie chorągwi, trzymanej przez księcia pruskiego, obowiązywali się po jego śmierci zostać lennikami króla polskiego i jemu winni hołd i przysięgę złożyć z ziem, które obecnie znajdują się w jarzmie hitleryzmu Tutaj też została podpisana unja Litwy z Polską, jednocząca dwa bratnie narody pod wspólną władzą króla polskiego.

Mimo swego znaczenia w ówczesnem życiu politycznem i umysłowem Polski sam wygląd miasta nie był reprezentacyjny tak, że króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, przejeżdżającego przez Lublin spotyka niemiła przygoda. Kareta królewska grzęźnie w błocie i dopiero sprowadzone woły umożliwiają królowi dalszą podróż. Pierwszy to raz w naszych dziejach król był zmuszony kontynuować podróż w karecie, zaprzągniętej w woły.

brze utrzymanych arkad i krużganków. Jednym z najstarszych jest pałac Radziwiłłów, który otrzymał Zygmunt August jako wiano Barbary Radziwiłłówny.

Z dotychczas zachowanych zabytków na uwagę zasługują dawne bramy obronne miasta z częścią murów, oraz zamek lubelski, zamieniony obecnie na więzienie, a z kościołów, Katedra, zbudowana w roku 1582 przez biskupa łuckiego, późniejszego arcybiskupa gnieźnieńskiego i kardynała Bernarda Maciejowskiego, który osadził w niej Jezuitów. Osobliwością katedry jest zakrystja t. zw. kanonicka. Na jej eliptycznem sklepieniu znajduje się obraz pendzla Majera, przedstawiający zwycięstwo wiary nad herezją, oraz obrazy ze szkoły flamandzkiej. Dzięki świetnej akustyce tej zakrystji słyszy się, stojąc z jednej strony, najcichszy szept osób rozmawiających po przeciwległej stronie salki. Dlatego też, jak mówi legenda, obawiający się zdrad, zazdrośni małżonkowie ukrywali się w zakrystji, aby móc przekonać się o wierności względnie niewierności swych małżonek, wyznających swe winy przed kapłanem.

Sporo podań wiąże się z historyczną przeszłością Lublina. Z nich najcharakterystyczniejsze jest to, które mówi o sądzie djabelskim w Trybunale Lubelskim, którego wyroki bardzo często były w kolizji ze sprawiedliwością. Panowie sędziowie zbyt często powodowali się pieniędzmi braci szlachty, nie zwracając uwagi na faktyczne dowody. W roku 1637 na wokandzie lubelskiego trybunału była sprawa pewnej wdowy, wytoczona przeciw magnatowi. Przekupił on jednak sędziów, którzy wydali wyrok skazujący wdowę. Ta, oburzona niesprawiedliwością, zawołała: „oby mnie djabli byli sądzili: byliby sprawiedliwszy wyrok wydali". W tym samym dniu pod wieczór mieli się zjawić w Lublinie djabli w strojach szlacheckich w celu rozpatrzenia sprawy wdowy. Przywołali pisarza mieszkającego w gmachu trybunału, poczem zaczęto rozprawę pokrzywdzonej wdowy. Zarówno sędziami jak i obrońcą wdowy byli djabli, którzy mimo swego pochodzenia z piekieł wydali wyrok na korzyść poszkodowanej. Wtedy to Chrystus, wiszący w sali trybunalskiej, miał odwrócić twarz, aby nie widzieć, że djabli są sprawiedliwsi, niż Trybunał, wydający w jego imieniu wyroki. Na stole prezydjalnym, przy którym odbywała się ta sprawa, przewodniczący djabeł wycisnął znak rozpaloną swoją ręką. Stół ten ze znakiem djabelskim ozdabia obecnie gabinet sekretarza prezydenta miasta w magistracie lubelskim.

Inne podanie związane jest z budową kościoła św. Michała. Kiedy w roku 1282 Leszek Czarny w pogoni za Litwinami i Jadźwingami stanął dla odpoczynku pod zamkiem lubelskim, zdrożony długim pościgiem, zasnął pod dębem. W czasie snu ukazał się mu św. Michał archanioł, który przepowiedział księciu zwycięstwo w pościgu za nieprzyjacielem. Stosownie do tej przepowiedni Leszek Czarny rozbił ścigane oddziały i odebrał łupy. Z wdzięczności za pomoc ślubował wystawienie kościoła pod wezwaniem św. Michała. Przy rozbiorze tego kościoła w r. 1846 znaleziono w fundamentach w rzeczywistości pień dębu, pod którym miał zasnąć Leszek Czarny. Obecnie jedynym śladem tego kościoła jest plac św. Michała. **Mgr. Stanisław Stok**

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki wydane przez Rosję Sowiecką: u góry oraz u dołu dwa egzemplarze, które ukazały się na pamiątkę otwarcia pawilonu sowieckiego na wystawie nowojorskiej, w środkowym rzędzie serja poświęcona słynnemu poecie ukraińskiemu Szewczence.

Oddawna nie ukazał się już żaden nowy znaczek Polski i można powiedzieć, że chyba tylko z tego względu nastąpiło pewne osłabienie na „rynku". W poprzednich latach czyto bloki wydane z okazji wizyty króla Rumunji, wzgl. bloczek stratosferyczny nawet w okresie kanikuły utrzymywały w napięciu ambicje kolekcjonerskie. Teraz w rocznicę „Czynu Legjonowego" Poczta Polska wzbogaci nasze zbiory pięknym znaczkiem kompozycji W. Boratyńskiego.

Kilka wierszy poświęcimy dzisiaj sprawie nalepiania znaczków w albumach, a raczej sposobowi umieszczenia ich na wyznaczonych polach.

Do absolutnie najwykwintniejszego sposobu zaliczyć należy jednak nietyle przylepienie, co ułożenie znaczka w przygotowane uprzednio na ten cel t. zw. „ramce". — Sporządzenie podobnej ramki wymaga jednak blisko 3 minut przy masowej produkcji. Krótkie już wyliczenie wskazuje na to, że na taki luksus mogą sobie pozwolić przy większej ilości egzemplarzy tylko ci, którzy poza znaczkami świata nie widzą. Jak wygląda owa ramka, a właściwie jak należy sporządzić ją z tektury, tuszu, cellofanu, syndetikonu i pelikanolu, o tem pomówimy w następnym numerze.

Witold Horain.



Figurki księcia di Meina

★

WŁADYSŁAW GĄSIECKI

NOWELA

W gabinecie zapanowała cisza. Minister siedział zamyślony, opierając ręce na rzeźbionych w formie orlich głów poręczach fotela. Zdawał się zapominać o obecności młodego urzędnika do specjalnych poruczeń, który siedział po przeciwnej stronie ogromnego renesansowego biurka.

Pietro Arnoldi nie ośmielił się przerwać milczenia. Był mocno zdziwiony, że zwierzchnik bierze może nieco zbyt poważnie te listy starego księcia di Meina, widocznie szwankującego na umyśle. Wreszcie minister podniósł głowę i jakby odgadując myśli młodego człowieka, rzekł:

— Widzę, że pan zastanawia się, dlaczego wogóle przywiązuję wagę do tych listów. Otóż sama groźba, że o ile zdecyduję się przedłożyć na dzisiejszej audiencji szefowi rządu do podpisu annex do traktatu z Niemcami, będący moim projektem, to zginę na parę minut przed wyjazdem z domu, nie martwi mnie zupełnie. Chodzi mi o co innego. A mianowicie o to, skąd książę wie o istnieniu tego annexu? Bowiem poza szefem rządu, mną i ambasadodem niemieckim, nikt właściwie nie mógł mieć o nim najmniejszego wyobrażenia. Dziś dopiero pan dowiedział się jako czwarty o tem odemnie z powodu tych listów i piąty, mój sekretarz, który właśnie teraz przygotowuje odnośny tekst. Ale i on otrzymał wskazówki odemnie dopiero dziś rano, a list księcia pisaby był wczoraj. To jest zagadka warta rozwiązania.

— Ale czy nie byłoby najprościej, panie ministrze — ośmielił się wtrącić Arnoldi — zaaresztować księcia i przeprowadzić rewizję w pałacu. Może znalazłyby się jakieś papiery, mogące rzucić światło na tę sprawę.

— Mój panie! — żachnął się minister — nie można aresztować osobistości, spokrewnionej z połową panujących rodzin Europy, a pośrednio i z naszym dworem. Raczej można by go wsadzić do sanatorjum, ale i tego bez wiedzy dworu nawet szef rządu zrobić nie może. Skandal tego rodzaju byłby dla nas w tej chwili zupełnie niepożądany. A jednak nie mogę ryzykować. Jakkolwiek opóźnienie podpisania traktatu mogłoby mieć dla nas nieobliczalne skutki wobec nalegania Niemiec. A nie wiadomo, kto może ewentualnie pomagać księciu i jakie on przygotowuje nam niespodzianki. Narazie więc kazałem dyskretnie otoczyć pałac policją, a wszystkich domowników inwigilować. Nie chcę jednak wprowadzić policji do środka. Tam pójdzie pan. Jest pan przecież także członkiem biura prasowego przy ministerstwie spraw zagranicznych. Pośle pan więc swoją kartę księciu z prośbą o wywiad właśnie w tych krytycznych godzinach wieczornych i postara się pan pozostać tam aż do godziny 21-ej, bo o tej godzinie traktat będzie już podpisany.

Minister wreszcie skończył i zniecierpliwiony Arnoldi mógł wtrącić swą uwagę:

— Panie ministrze! Przecież on mnie nie przyjmie!

— Ha, w takim razie trzeba będzie tam posłać oficera policji. Ale spodziewam się, że panu się uda. Dam panu urzędowy wóz do dyspozycji, bo to dość daleko.

Minister nacisnął guzik na blacie biurka i rzucił krótki rozkaz w tubę mikrofonu. Poczem wstał i podając rękę Arnoldiemu, dodał:

— No to wszystko. Niechże pan sobie księcia dokładnie obejrzy, bo właściwie to poza tem, że od dwudziestu lat nie opuszcza pałacu i skupuje po całej Europie średniowieczne pergaminy, pisma słynnych „czarowników“ i alchemiczne recepty, nic o nim więcej nie wiemy.

Po chwili Pietro schodził już po szerokich marmurowych schodach. Przed bramą czekał na niego służbowy samochód. Ponieważ było jeszcze sporo czasu do godziny wyznaczonej przez ministra na wizytę u księcia, więc kazał się zawieść do kawiarni. Pijąc mazagran, myślał o dziwnem poleceniu, jakie otrzymał. Istotnie książę zbyt wiele wiedział o tajemnicach politycznych. Może nie był wcale szaleńcem, jak mu się zdawało w pierwszej chwili. Ale w takim razie groźby mogły być naprawdę niebezpieczne. No, i jeśliby tak było, to nie ulega wątpliwości, że książę nie zechce właśnie teraz udzielić mu wywiadu.

Był tak zdenerwowany, że wyszedłszy z kawiarni postanowił część drogi odbyć piechotą, a szoferowi kazał wolno jechać za sobą. Choć do zmroku było jeszcze daleko, niebo poczynało już żółknąć jak więdnące liście. Dęby korkowe w ogrodach willi „Borghese“ rzucały błękitnawy cień na krańce Piazza di Siena, a pasmo pinij na wzgórzu między św. Piotrem a Monte Mario stawało



WIEJSKIE PLOTECZKI
Fot. EDWARD HARTWIG

się coraz ciemniejsze. Minąwszy gwarne Pincio, Pietro wsiadł do samochodu i kazał się wieść już prosto do pałacu di Meina.

Był to wielki, smutny dom z ogromną bramą okutą bronzem. Stary służący w skromnej czarnej liberji odebrał kartę od Pietra, mówiąc ku jego wielkiemu zdumieniu:

— Książę oczekuje już pana, zaraz go zawiadomię.

Pietro pozostał sam w obszernym hallu. Pełno tu było starych stylowych mebli, krzeseł obitych wytłaczaną złoconą skórą, zbroi ustawionych na postumentach, a na ścianach krytych boazerją z czarnego dębu wisiały skrzyżowane miecze i hełmy przedziwnych kształtów. Wszystko to było nieco zaniedbane i bardzo ponure. Służący wrócił nadspodziewanie szybko i z ukłonem otworzył wielkie rzeźbione drzwi. Milcząc przeprowadził Pietra przez kilka równie zaniedbanych salonów i w końcu zatrzymał się przed kotarą z ciemnego aksamitu. Gestem zaprosił gościa do wejścia. Pietro przestąpił próg i zeszedł w dół po kilku stopniach. Kotarę za nim zasunięto z suchym szelestem.

Pokój, a raczej sala, w której się znalazł, musiała być pałacową bibljoteką. Wzdłuż ścian stały wysokie półki pełne książek, a na olbrzymim marmurowym stole leżały żółte zwitki pergaminów. W pośrodku stołu znajdowała się dziwna jakaś oszklona gablotka, pełna osobliwych małych figurek, rzeźbionych w złotawym materjale. Dopiero po chwili oswoiwszy się ze zmrokiem panującym tutaj spostrzegł Pietro, że na końcu sali pod wysokiem wąskiem oknem, nawpół przysłoniętem czarną portjerą, siedzi w ciemnym fotelu jakaś postać. Zbliżywszy się, zauważył, że jest to stary mężczyzna o niezwykle pięknych rysach, bardzo bladej cerze i białych długich włosach, układających się w miękkie fale nakształt peruki z XVIII w. Ubrany był w długi szlafrok z czarnego jedwabiu haftowanego srebrem. Milcząc wpatrywał się w gościa wielkiemi płonącemi oczyma. Zmieszany Pietro postąpił jeszcze krok naprzód i rzekł z lekkim ukłonem:

— Zapewne książę di Meina? Książę pozwoli, że się przedstawię, jestem Arnoldi.

Stary pan kiwnął głową i bezsłownie wskazał Pietrowi niskie weneckie krzesło z poduszką z blado-fjołkowego aksamitu. Dopiero, gdy gość ulokował się na nim, starzec otworzył usta:

— Pan wybaczy — rzekł niskim dźwięcznym głosem — że nie wstałem na jego powitanie, ale od czasu ataku paralitycznego już przez kilkanaście lat nie władam nogami.

Arnoldiemu zrobiło się niezwykle przykro. Chciał właśnie powiedzieć kilka uprzejmych słów, ale książę mówił dalej z lekką ironją na dnie głosu:

— Bardzo wdzięczny jestem panu ministrowi, że pragnąc widocznie rozjaśnić mą samotność, przysłał mi tak miłego młodego człowieka. Obawiam się tylko, że będzie się pan nudził. My tu odwykliśmy od gości, choć każdemu jesteśmy szczerze radzi.

Wyciągnął białą wąską rękę i szarpnął taśmę. Gdzieś daleko zabrzmiał srebrzysty dźwięk dzwonka, po chwili kotara rozsunęła się i weszli dwaj służący. Jeden niósł wielki bronzowy świecznik z płonącemi świecami, który ostrożnie postawił na stole, a drugi dźwigał ciężką tacę srebrną pełną owoców. Odsunąwszy kilka zwitków pergaminowych postawił ją na małym okrągłym stole koło fotelu gościa, poczem obydwaj bezszelestnie opuścili pokój. A książę odezwał się znowu:

— Może pana interesują książki. Mam tu ciekawe stare wydawnictwa. Oto Theokryt, a tam słynne dzieło Tertuliana „De cultu feminarum" wydanie z Alde i jeszcze „De laude Castitatis" pisane przez św. Avitusa biskupa Vienny w r. 490 poematy łacińskie piękniejsze od „Raju Utraconego" Miltona.

Pietro zaskoczony milczał. Książę spojrzał nań z lekko złośliwym uśmiechem.

— Zdaje się, że jednak nudzę pana, jak się tego obawiałem. Pan zapewne wolałby porozmawiać o listach do pana de Silvani? No cóż, trzeba się stosować do życzeń gości. Proszę, czekam na pytania.

Arnoldi nigdy nie czuł się tak głupio. Poprostu nie mógł znaleźć stosownych słów. A książę czekał chwilę i wreszcie znów sam podjął rozmowę.

— Uznaliście mnie za szaleńca, nieprawdaż? A ja jestem tylko patrjotą. Dysponując siłami, o jakich nie macie pojęcia, zniszczę bezwzględnie człowieka, który w swym obłędzie chce wciągnąć mój kraj w przepaść. Śmierć ta będzie ostrzeżeniem dla innych, ostrzeżeniem, koniecznem dla dobra Italji i świata. Merytorycznie zasługiwałbym może na karę, ale gdy swój cel osiągnę, oskarżę się sam.

Pietro powoli wracał do równowagi. A więc jednak — myślał — książę jest szaleńcem, ale w tych warunkach zupełnie nieszkodliwym. Cóż może uczynić samotny sparaliżowany człowiek? Właściwie, to mógłbym już stąd pójść — mówił do siebie. W tych okolicznościach nie ma sensu pilnować tego bezsilnego starca. Zamyślił się tak głęboko, że nie spostrzegł, iż książę już przestał mówić. Dopiero jakiś niespodziewany dźwięk skłonił go do spojrzenia na gospodarza. Ze zdumieniem zauważył, że tenże śmieje się cicho ironicznie. Wreszcie starzec odezwał się:

— Zamierzałeś mnie pan już opuścić, prawda? Nie warto się bawić w pielęgniarza, zwłaszcza gdy chodzi o nieszkodliwego warjata.

Pietro otworzył usta, ale nagle książę podniósł rękę, gestem nakazując milczenie. Gdzieś w dalszym pokoju stęknął głucho zegar i wolno począł wybijać godzinę. Książę słuchał z przymkniętemi oczyma, licząc szeptem uderzenia. Wreszcie przebrzmiało ostatnie. Starzec wyprostował się na fotelu i wziąwszy z małego stoliczka obok dużą kryształową kulę, położył ją przed sobą i wpatrzył się w nią uważnie, wolno, rytmicznie kołysząc przytem głową, jak wielka chińska figura porcelanowa.

Nagle w chwili, gdy Pietro chciał wstać z krzesła, książę odłożył kulę i zwrócił się do dziennikarza z uprzejmym gestem:

— Przepraszam, że pana trudzę, ale służby mojej niema w tej chwili w domu. Tam z tej gablotki na stole proszę mi podać figurkę z numerem 7.

Pietro podszedł do stołu. W gablotce istotnie figurki lepione z wosku miały na podstawach tabliczki z cyframi. Wybrał liczbę 7 i podał lalkę księciu. Starzec pochylił się ku stolikowi i szukał tam czegoś przez chwilę. Wreszcie wyciągnął ku Arnoldiemu dłoń, na której leżał sztylecik o głowicy wysadzanej rubinami.

— Proszę spojrzeć — rzekł — ta klinga znaczona jest znakiem „psa", znakiem Guliana del Rey, wykonano ją w XVI wieku w Toledo. Od tego czasu znajduje się w mojej rodzinie.

Pietro wyciągnął rękę, chcąc bliżej sztylet obejrzeć, ale książę szybko cofnął dłoń, chowając go w prawym rękawie tuniki. Poczem obojętnie odwrócił się od Pietra i zaczął szeptać coś cicho. Czasem głośniej zabrzmiało jakieś łacińskie słowo. Wyciągnąwszy obie ręce nad figurką, dotykał jej chwilami końcami palców, czasem czynił nad nią hieratyczny gest jak błogosławieństwo. Pietro patrzył na ten dziwny obrządek jak zahypnotyzowany. Nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Książę, skończywszy dziwną modlitwę zaklęcia, wyjął z małej kasetki, leżącej obok niego na fotelu długą szpilkę, której główkę stanowił granat w złoto oprawny. Wziąwszy w rękę woskową lalkę, patrzył na nią długą chwilę, aż w dali zgrzytnął znowu zegar, wybijając kwadrans. Starzec podniósł szpilkę, oczy zajaśniały mu niesamowitym blaskiem, usta mełły jakieś łacińskie wyrazy, wreszcie wykrzyknął jakieś niezrozumiałe wyrazy, wreszcie wykrzyknął jakieś niezrozumiałe słowo i szpilka pogrążyła się aż pogłowicę w piersi woskowej lalki. A potem figurka potoczyła się pod nogi Pietra. Ten machinalnie pochylił się, chcąc ją podnieść, ale dziwny dźwięk, niby chrapliwe westchnienie, skłonił go do podniesienia głowy.

Książę siedział wyprostowany w fotelu; twarz jego była bardziej jeszcze blada niż zwykle. Usta skrzywione gorzkim grymasem a oczy przymknięte. W lewej piersi tkwiła klinga toledańskiego sztyletu. W zdobiących ją rubinach światło świec budziło czerwone refleksy, a na białym jedwabiu tuniki rozlewać się poczęła szeroka plama krwi.

Leżąca na posadzce figurka jakby ożyła w drgających blaskach świec. Pietro poznał w rysach jej twarzy woskowy portret ministra de Silvani.

Jak oszalały wypadł z pałacu.

— Do ministerjum! — krzyknął do szofera. — Ale pędź pan, choćbyś miał wóz rozbić, byle prędzej.

Rzeczywiście rekordowo szybko zajechali przed bramę ministerstwa. Stał tam osobisty wóz ministra a szofer z przerażoną twarzą wychodził właśnie z pałacu. Nie pytając się o nic, gnany straszliwą pewnością nieszczęścia, Pietro wpadł do bramy i po chwili był już w gabinecie, gdzie na wniesionej z poczekalni kanapie leżał de Silvani.

Lekarz pochylił się nad ciałem i rozpiąwszy kamizelkę i koszulę ministra przyłożył stetoskop do serca. Minuty upływały w głębokiem milczeniu. Wreszcie lekarz podniósł się i bezradnym gestem rozłożył ręce. Minister nie żył.

Doktór nic nie zauważył, ale Pietro ujrzał na lewej piersi pana de Silvani maleńką skrzepłą kroplę krwi, dokładnie w tem miejscu, gdzie szpilka księcia di Meina ukłóła woskową lalkę. Kropla miała kolor starego, rudego granatu.



FOTOGRAFJE - DOKUMENTY

Bywa czasem, że wielkie wydarzenia o znamionach kataklizmu, czy niespodziewane wypadki — zdoła ktoś z przygodnych widzów utrwalić na płycie fotograficznej. Fotografje takie są niezwykle rzadkie i posiadają wartość dokumentu. Dokonanie takiego zdjęcia zależy od szeregu okoliczności, przedewszystkiem jednak od przytomności umysłu fotografa, który orjentując się w sytuacji i wartości dokonania — potrafi błyskawicznie uchwycić w celowniku moment, którego akcja rozgrywa się niejednokrotnie na przestrzeni ułamków sekundy. Kilka takich fotografij — dokumentów ukazujących emocjonujące sceny reprodukujemy.

Król Aleksander jugosłowiański został zamordowany podczas pobytu w Marsylji przez Piotra Kalemena. Na Fotografji widać zbrodniarza stojącego na stopniach samochodu królewskiego. Szofer wyciąga rękę, aby strącić napastnika. Pełne ekspresji postacie w koło świadczą, że pierwsze strzały już padły.



Na lewo: Dżokej wziął źle przeszkodę, a koń zawadziwszy o poprzeczkę runął na ziemię. Zdjęcie stanowi początkową fazę niebezpiecznego wypadku.



Na lewo: Na zakręcie kierowca motocyklu stracił panowanie nad maszyną i runął na ziemię.



Na prawo: Ta fotografja jest ewenementem. Fotografowi udało się zbliżyć w nocy do wodopoju i uchwycić moment, w którym lew rzuca się na swą ofiarę, zaspakającą pragnienie w strumieniu.



oto ostatni z kompanij biegnie ku pozycjom nieprzyjaciela. Zdjęcie to zostało dokonane w Teruelu pod gradem kul podczas hiszpańskiej wojny domowej.



Fotografowanie przestępców traconych na krześle elektrycznem jest w Ameryce wzbronione. Zdjęcie reprodukowane powyżej zostało dokonane przez pomysłowego fotografa zapomocą aparatu umieszczonego w butonierce. Zdjęcie to stanowiło swego czasu sensację i wywarło ogromne wrażenie.



Na prawo: Podczas wyścigów łodzi motorowych w Anglji, kierowca jednej z motorówek został na zakręcie wyrzucony do wody, a łódź pozbawiona kierowcy wpadła na brzeg między widzów zabijając i raniąc kilka osób.

GALERJA KUDŁATYCH FIGUR

Ogromna i w żadnym innym gatunku zwierząt niespotykana rozmaitość psich ras i typów stwarza tę jedyną w swoim rodzaju żywą „galerję figur kudłatych", z których każda posiada odmienne cechy. Od potężnego mastiffa do minjaturowego ratlerka, od barokowo owłosionego pudla lub węgierskiego komondora do nagiego pieska afrykańskiego rozpościera się wspaniały wachlarz najrozmaitszych psich „kreacyj", z których niejeden zaledwie umiejący szczekać czworonóg, prawie nie przypomina swego brata wilka i nie zdradza bliskiego pokrewieństwa z innemi psami.

Na tę kalejdoskopowość wpłynęło niewątpliwie skomplikowane pochodzenie psów od wilka, lisa i szakala, oraz stałe i celowe krzyżówki i selekcje, w których wola i genjusz ludzkiego hodowcy potrafiły wyczarować tyle oryginalnych ras. Olbrzymią rolę odegrała w tej hodowli moda, zdawałoby się tak mało znacząca w sprawach hodowlanych. Niemniej ona to sprawiła, że dzisiaj każda elegancka pani może sobie dobrać psią „pointę" do koloru włosów, sukni lub auta, może podkreślić swoją stylowość wytwornym chartem syberyjskim lub szkockim owczarkiem, zaznaczyć sportowe zamiłowania nietylko eleganckim kostjumem, ale i nowoczesnym w sylwetce foxterrierem, albo kapitalnym szkockim terrierem. Typy demoniczne podkreślają swój dominujący ton wampa atletycznym dogiem, kobiece „przylepki" kudłatym maltańczykiem, któremu zaledwie widać oczka z pod niesfornej zawieruchy włosów lub wezmą na ręce arystokratycznego pekińczyka, typom zaś, lubiącym ludowość, swojskość i ziemiańskość najlepiej odpowie śnieżnobiały polski owczarek podhalański.

Do rekwizytów przebrzmiałej już przedwojennej mody należał barokowo wytworny pudel, lub pruski, w wyrazie psiej „twarzy", bokser, a z triumfalnym pochodem sportowej sylwetki ludzkiej podpisano równocześnie wyrok śmierci na tłustego mopsa, kokietującego kilku podbródkami. Na arenę współzawodnictwa wkroczyły przedewszystkiem „made in England" terriery, z których szkocki terrier stał się dzięki swojej rewolucyjnej sylwetce synonimem psiej nowoczesności. Bardzo rozpowszechniona psia rodzina, o której możnaby napisać specjalną „sagę rodu terrierów" wyprodukowana przez doskonałych angielskich hodowców — wkroczyła bez żadnego prawie oporu ze strony zasiedziałych ras na kontynent i za jednym zamachem podbiła serca miłośników psów. Po wyłomie uczynionym przez foxterriera ostrowłosego, zjawił się główny zwycięzca — terrier szkocki, „pies tapczan", o fizjognomji i figurze budzącej swoją komiczną powagą uśmiech wesołości. Twarz „renéclairowskiego" włóczęgi kwalifikuje go przynajmniej na... trzy lata bez zawieszenia, jest to jednak dobroduszny czworonożny poczciwiec, potrzebujący niewiele „przestrzeni życiowej" do zadowolenia. Prócz tych przedstawicieli terrierowej rodziny jest jeszcze kilkadziesiąt innych reprezentantów tego wielkiego psiego klanu z airedale-terrierem na czele, który jako pies użytkowy pełni wiele psich służb, wypierając w Anglji owczarka niemieckiego, któremu ostatnio coraz gorzej się wiedzie.

Osobną rubrykę w świecie mody mają psy egzotyczne. Do rzadkich, ale pięknych okazów należy chiński chow-chow, oryginalny kudłacz, odznaczający się prócz chińskiej aparycji językiem granatowego koloru. Nazwa jego w języku broniących się aktualnie przeciwników kraju złotego smoka — oznacza „coś do zjedzenia", jest on bowiem na wschodnich rubieżach Azji zwierzęciem jadalnem i stanowiącem nawet przysmak kosookich smakoszów. Fakt zjadania psów nie jest zresztą pomysłu azjatyckiego, gdyż w Niemczech są nawet specjalne psie rzeźnie.

Osobna wzmianka należy się typowemu „damskiemu" pieskowi pekińczykowi. Przez wiele wieków ekskluzywny ten piesek chińskich cesarzy był niedostępny poza pałacem władców Chin, obecnie zaś cieszy się dużą popularnością na całym świecie.

Utylitarność naszych czasów skłania nawet piękne panie do posiadania psów użytkowych, łączących oczywiście wraz z temi cechami użyteczności możliwie miłą aparycję lub... oryginalną brzydotę. Stąd to olbrzymie powodzenie polskiego owczarka podhalańskiego, który nadając się do wszelkich psich służb, może zaspokoić modnisiowe wymagania najbardziej wrażliwej estetki, w tem też leży sekret powodzenia angielskiego buldoga, psiego atlety-myśliciela, którego oryginalna brzydota stanowi czasem wdzięczny kontrast z wdziękiem właścicielki.

dr Mieczysław Cena.



Poniżej od lewej: Buldog mimo swej brzydoty pozostał czworonożnym ulubieńcem ludzi. Dawniej tak popularne pudle obecnie już całkiem wyszły z mody. Chart afganistański mało przypomina swego arystokratycznego krewniaka.







Miłymi towarzyszami pięknych pań są szare Bedlington-terriery.



„ROSEMARIE"
Piękny okaz wyżlicy (Setter Laverlack)



SYLWETKI ARTYSTÓW:

Michał Boruciński

Jednym z niedocenianych, za mało znanych i popularnych — w stosunku do swego talentu malarskiego — jest Michał Boruciński. Nie każdy, kto maluje obrazy jest artystą, podobnie jak nie każdy piszący powieści jest powieściopisarzem, gdy może być... grafomanem... A Michał Boruciński w pełni zasługuje na miano artysty: dowiódł tego swem życiem i dziełami.

Boruciński, urodzony w r. 1885 w Siedlcach, nim został studentem warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych — był robotnikiem w odlewni czcionek u Orgelbranda. Już ten sam fakt z wczesnej młodości artysty — gdy nie było jeszcze Szkoły Sztuk Pięknych, gdy młody robotnik chodził wieczorami do Muzeum Przem. i Rolnictwa, gdzie uczył się rysunku u Łopieńskiego i Kowalewskiego, a potem zapisał się do Akademji — świadczy dobitnie o odwadze i wielkiem zamiłowaniu sztuki.

Boruciński nie zrażał się trudnościami, które piętrzyły się przed nim, wierzył, że praca jest wielkim kapitałem.

Profesorami w ówczesnej Szk. Sztuk Pięknych były takie „asy", jak: Stabrowski, Ruszczyc, Tichy, E. Trojanowski, K. Krzyżanowski. „Nastrój wysoki, a wesoły [1]) kult prawdy i poezji, koleżeńskość i powaga, bezwzględność sądów, fantastyczność i ludowość — oto były główne właściwości atmosfery Szkoły, w której wszyscy koledzy nawzajem się wspierali, a profesorowie byli raczej starszymi braćmi. Na Borucińskiego wpływać mógł Krzyżanowski, który wulkanicznym temperamentem pobudzał do wielkiej sztuki, tworząc (w pierwszym okresie swego wspaniałego rozwoju) cuda wyrazu i szerokiej syntetycznej formy, choć jeszcze nie dawał tych arcydzieł, które go później uczyniły, tak zbliżonym do mistrzów renesansu. Niemniej silnie mógł odczuwać młody artysta nauki Tichego i Trojanowskiego, którzy szerzyli dążenie kompozycyjno-zdobnicze i tworzyli sztukę dekoracyjną t. zw. „stosowaną".

Po pięcioletnich studjach w szkole otrzymał Boruciński stypendjum im. Płoskiej za pracę dekoracyjną.

W czasie podróży do Italji młody Polak szczególnie interesował się sztuką Odrodzenia, dbając i kopjując mistrzów Odrodzenia w sposób doskonały.

Pierwszą nagrodę po powrocie do kraju otrzymał Boruciński na konkursie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie w 1912 roku za „Bitwę pod Warną". Obraz ten znajduje się w Bułgarji.

Następnie artysta otrzymał również i nagrodę w Warszawie w 1916 r. za malowidło zdobiące Sejm pt. Alegorja Polski. I wnet posypały się medale złote i nagrody, a artysta nie ustawał w pracy.

W Borucińskim tkwi nienasycone pragnienie rozwiązywania coraz to nowych problemów. Gdy w jakiejś dziedzinie twórczości osiągnie ciekawe, wyniki — już pociąga go nowe zagadnienie. Ciągle naprzód! — oto hasło tego artysty, szukającego coraz nowych wyrazów Piękna...

Pierwsze dzieła artysty, o charakterze dekoracyjnym, olśniewają bogactwem barw, po podróży po Włoszech Boruciński przechodzi do tonów chłodnych. Maluje portrety kobiece z wielkim wdziękiem, nadzwyczajną techniką. I wreszcie „głowy huculów" Borucińskiego należą do arcydzieł sztuki polskiej [2]). Niezwykle jasno a przesubtelnie określony charakter realnego człowieka. Śpiewność i jednolitość wyrazu, synteza odczucia kompozycji, na tym wyrazie opartego, tworzy z tych obrazów rzeczy o wyjątkowej wartości artystycznej".

Myliłby się ten, ktoby sądził, że doszedłszy do tak nieprzeciętnych wyników, osiągnąwszy taką pełnię wyrazu — artysta powie sobie: „Stop" — i... do końca dni swoich maluje li tylko głowy huculów... Gdzież tam!



Jeden z witraży Michała Borucińskiego w Muzeum Wojska w Warszawie — obok jego twórca

[1]) Jan Kleczyński — „Michał Boruciński" — wyd. Mortkowicza.

[2]) tamże.

Z kolei Boruciński pokusił się o oddanie piękna ciała kobiecego. I znów po mozolnych studjach jawi się „majstersztyk“ — „Łuczniczka“.

W broszurze J. Kleczyńskiego o Borucińskim z której już cytowaliśmy wyjątki pióra tego znanego recenzenta sztuki plastycznej — znajdujemy takie słowa: „Ideał pięknej formy kobiecego ciała, coś jak odmalowana rzeźba z kości słoniowej, marzenie o Venus, która nie przypomina ani Botticellego, ani rzeźby greckiej, która jest nową w sztuce stylizacją formalną w tym kierunku. Uważam wysiłek Borucińskiego, ku stworzeniu tej wizji z precyzją przypominającą naturalizm (szczególniejszy naturalizm marzenia!) za jeden z najpoważniejszych wysiłków z tego działu współczesnego malarstwa, które opiera się na budowaniu kształtu, na konstrukcji postaci i obrazu.

Kompozycyjność ma Boruciński wrodzoną w połączeniu z głębokim zmysłem realizmu, który od początku syntetyzował mu się w odrębny jego własny idealizm formalny, na tle niezwykle subtelnego poczucia dekoracyjności. Skala talentu tego artysty jest rzeczywiście imponująco wielka. Artysta tworzy, maluje — nie opuszczając prawie swej pracowni, w ciszy samotności — nie zabiegając o poklask tłumu.

Aby uzupełnić choćby najważniejsze pozycje dorobku Borucińskiego — wspomnieć należy o świetnych ilustracjach do „Popiołów“ St. Żeromskiego, wreszcie o ostatnich monumentalnych pracach, przygotowanych dla Muzeum Wojska w Warszawie.

A czy wiedzą Państwo, że Michał Boruciński jest witrażystą?

Cztery ogromne witraże jego kompozycji zdobią honorową salę Muzeum Wojska, która poświęcona będzie pamięci naszych najznakomitszych wodzów i chlubnych czynów orężnych.

Poważny i piękny nastrój stwarzają witraże, przedstawiające czterech bohaterów, poległych na polu walki: Henryka Pobożnego, Władysława Warneńczyka, Stanisława Żółkiewskiego i Księcia Józefa Poniatowskiego. Ileż trudu i pracy musiał włożyć artysta, aby opanować nieznaną mu zupełnie technikę, a co więcej za jednym zamachem stanąć odrazu w rzędzie najlepszych polskich witrażystów!

Obecnie Michał Boruciński przygotowuje plan i szkice do wielkiego malowidła, (również zamówionego do sali honorowej Muzeum Wojsk), przedstawiającego Bitwę pod Wiedniem“, a przeciwległą ścianę zdobić będzie dzieło Michała Byliny, opiewające „Cud nad Wisłą“.

Dodać należy przy sposobności, że oto powstają jedne z największych płócien malarskich w Polsce, których długość dwukrotnie przewyższać będzie „Grunwald“ — Matejki.

Michał Boruciński przypomina średniowiecznego artystę, który trud swego życia ofiarowuje umiłowanej Sztuce. A kto jest jego Muzą?... Odpowiedzmy i na to niedyskretne pytanie. Artysta Beatrycze swoją poznaje w czasie studjów w Szkole Szt. Pięknych: jest jego koleżanką. Mają wspólne zainteresowania, upodobania. Prawie każdy artysta-plastyk, szczególnie upodobawszy sobie rysy danej osoby, maluje ją dziesiątki razy, tę samą twarz odtwarzając wielokrotnie. Dla Borucińskiego ukochanym modelem, którego najchętniej rysuje — jest jego żona.

Jakże miłe są pogawędki o sztuce w domu państwa Borucińskich, gdzie każdy drobiazg ma duży walor artystyczny. Wysoce kulturalna ta rodzina — córka jedynaczka — Panna Hanka — inżynier-architekt — rozkochana jest w pięknie. Ślicznie urządzone wnętrze domu mówi o zamiłowaiach gospodarzy, którzy zdala od zgiełku i wrzawy wielkomiejskiej — żyją innem życiem, tem, które sami sobie stworzyli, a które tak różni się od szarych egzystencyj ludzkich, ślepych na piękno...

Kr. Dienstl-Kaczyńska.



Na lewo: „Bitwa pod Warną“.



Na prawo: „Hucul“.



Poniżej: Portret żony.



Na lewo: Michał Boruciński: „Łuczniczka“.



T. zw. ekwilibrystyka jest zawsze źródłem wielkich emocyj dla dzisiejszej publiczności cyrkowej.
Francis C. Fuerst Paryż.

Blaski areny

Zdziwiłby się zapewne bardzo bożek Consus, rzymski patron żniw, ku czci którego odbywały się corocznie pomiędzy Aventynem a Palatynem gry, wyścigi i zabawy ludowe — zaczątek i prototyp dzisiejszych cyrków — gdyby, podniósłszy na chwilę znużone snem tysiącleci powieki, spojrzał na któryś ze współczesnych naszych „maneżów". O, jakże niepodobnem to wszystko, co się tam dzieje, do owych podniosłych, zabarwionych religijnem uczuciem obchodów, które ku czci jego święciła Roma legendarnych królów, lub surowa purytańska republika. Ale zdziwiliby się również Kaligula, Neron, lub cesarz Maxencjusz, wszechpotężni imperatorowie starożytnego świata — twórcy krwawych igrzysk, gdzie krew ludzka była najtańszą ceną, jaką cezarowie rzymscy opłacali łaskę swego ludu. Patrzyliby zdumieni i... znudzeni na arenę, na której zamiast nagiego ciała olbrzymiego retiariusa, walczącego trójzębem i siecią o życie z przybranym w żelazny hełm i nagolenniki gladjatorem, uwijają się... tresowane pieski lub foki, bawiące się piłką z względnie spokojną (o dziwo!) publicznością, która nie wyciem, ale śmiechem lub co najwyżej brawurowemi oklaskami objawia swe zadowolenie. Jeszcze na widok akrobaty, tańczącego na linie tango lub karjokę, lub też na widok dzikich zwierząt, posłusznych każdemu skinieniu swego pogromcy — ich imperatorskie moście zmrużyłyby oczy, przypatrzywszy się nieco uważniej karkołomnym produkcjom, lecz już podczas prymitywnych scen błazeńskich, lub niewinnej tresury koni z pewnością znudzenie i „niesmak" pojawiłby się znów na dostojnych obliczach ulubieńców bogów...

Sic transit mundus. Tak zmieniają się gusta wraz ze zmianą epoki. Cyrk naszych czasów, to wielki budynek lub namiot z okrągłą lub owalną areną w pośrodku — otoczoną amfiteatralną widownią. Produkują się w nim pogromcy zwierząt, podziwiamy na jego arenie ciekawą tresurę koni, przeróżne sztuki łamane, przysłuchujemy się z uśmiechem mniej lub więcej udatnym dowcipom przeróżnych „antraktowych wesołków", śledzimy z zapartym oddechem produkcje akrobatów na linach i trapezach — i wychodzimy zadowoleni, syci tych niewinnych, w porównaniu z emocjami starożytnych, wrażeń.

Nowoczesne cyrki wymagają obejmującej całość sprężystej organizacji, posiadają całą armję funkcjonarjuszów i artystów, olbrzymi park wagonowy dla pomieszczenia personalu i zwierząt, jak również całego sztabu pomocników, pachołków i służby, którzy niekiedy spełniają zarazem rolę cyrkowych muzykantów.

Pierwszy „maneż" cyrkowy w dzisiejszem pojęciu stworzył w 1767 r. w Paryżu angielski mistrz jazdy konnej Jacob Bates, pod nazwą „Cirque équestre" — w Londynie zaś powstała podobna „instytucja" w r. 1770, założona również przez mistrza jazdy, R. Philippa Astleya. W następnych dziesiątkach lat tworzą się sławne cyrki w Niemczech, jak E. Wollschlägera, Ernsta Renza i Pawła Buscha. W tym samym mniejwięcej czasie czynni byli we Francji Cuzent, Léjars i Loisset. Ale dopiero od czasu wystąpienia na arenie cyrkowej sławnego Barnuma, powstał nowoczesny typ cyrku — a połączenie się Barnuma z równie sławnym Bailey'em, twórcą typu wielkiego cyrku wędrownego, ustaliło jego dzisiejszą formę na długie zapewne lata najbliższej przynajmniej przyszłości. Czar cyrkowej areny promieniuje jeszcze pełnią swego blasku i nieprędkim jest czas jego zagaśnięcia.

A. CYPRIAN.



Trójka clownów zabawia publiczność podczas programowej przerwy.



Żywe „posągi z bronzu" — czwórka akrobatów w czasie wykonywania swojej sztuki.



Charakterystyczno-komiczny punkt programu, odgrywany przez clownów-akrobatów, wywołuje na widowni salwy śmiechu.



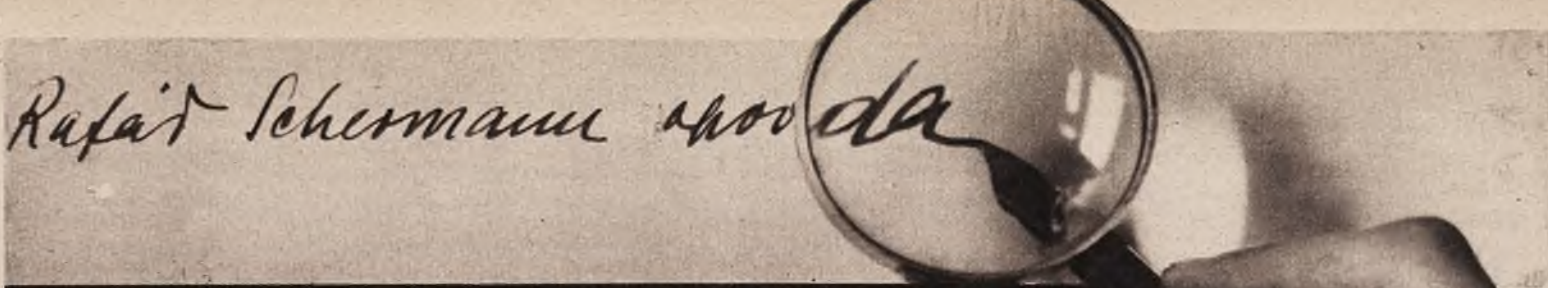
Wspaniała tresura koni ukazuje nam coraz to nowe postępy tej trudnej sztuki.



Poczciwy słoń w czasie swych produkcyj.
Zdjęcia Michael Lorant — Londyn.



„Solista koński" prezentuje swą wysoką klasę wobec podziwiającej go publiczności.



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA



AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Jak widać z przytoczonych faktów psychografologja Schermanna może być poważną pomocą w stawianiu diagnozy i należy poczytać mu za dobre, że nie pozwolił uczynić ze siebie amerykańskiej atrakcji kabaretowej, lecz że oddaje swój dar czytania w przyszłości na usługi cierpiącej ludzkości.

Jest rzeczą niezwykle frapującą, że w piśmie odzwierciadlają się nietylko choroby prawdziwe, ale też i te, które ludzie sobie wmawiają.. Pewnego razu w r. 1936, gdy bawiłem w Paryżu, mieszkając w hotelu „Majestic" zgłaszają się do mnie dwaj panowie. Był to konsul francuski w Rzymie Cachet, przybywający w towarzystwie znanego kupca paryskiego, który bynajmniej nie miał zamiaru prosić mnie o poradę czy pomoc. Ale już w chwili kiedy przestąpił próg zauważyłem w nim coś dziwnego, co skłoniło mnie do zainteresowania się jego osobą. Poprosiłem go, aby napisał swój adres oraz adres konsula, a następnie, ku niemałemu zresztą jego zdziwieniu, aby podpisał się trzykrotnie. Spojrzał na mnie pełen oczekiwania.

Z uśmiechem na twarzy powiedziałem:

— Nie udzielam bynajmniej porad lekarskich i jestem zdania, że chcąc się wyleczyć należy zwrócić się do lekarza, a nie do psychografologa, ale raz po raz mogę dać lekarzowi pewne wskazówki i zwrócić jego uwagę na rzeczy, które uszły jego uwadze, a które znajdują się w piśmie. Otóż stwierdzam, że pan od dłuższego czasu jest pod wrażeniem przyszłej operacji ślepej kiszki, która, zdaniem pańskiem, panu grozi. Nie ma pan jednak racji: nic panu nie dolega, a jedynie kuracja odtłuszczająca, którą pan przeprowadził jakieś 10 do 15 lat temu, w sposób nieco gwałtowny, odbiła się niekorzystnie na organiźmie. Z właszcza okolica ślepej kiszki została przez kurację zaatakowana, a pański system nerwowy również ucierpiał z tego powodu. Niech pan zwróci się do specjalisty, a powie on panu to samo co ja: operacja jest tutaj niepotrzebna.

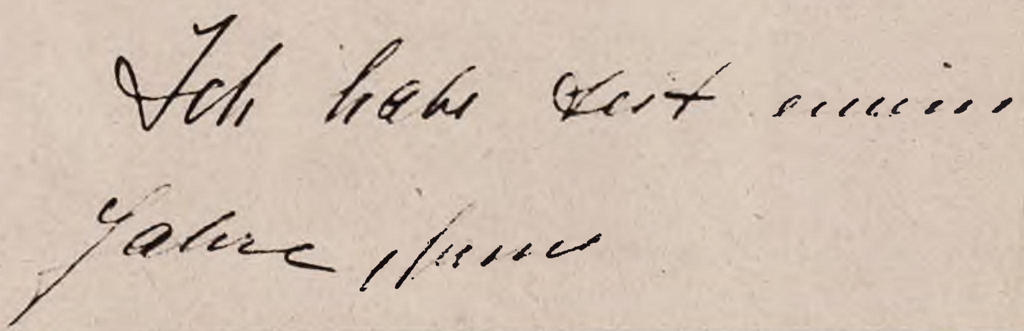
Słów moich słuchał kupiec z niebywałem zdumieniem, gdyż przypuszczał, że jego obawy są głęboko ukryte przed całym światem. Wziął do ręki ołówek i skreślił następujące zdanie: „Pańska uwaga, że ciągle myślę o zapaleniu ślepej kiszki zgadza się co do joty: właśnie kilka tygodni temu ubezpieczyłem się na wypadek operacji".

A następnie spytał mnie: — „Ale jak mógł pan wywnioskować z mego pisma o tem co ukrywam przed całym światem?"

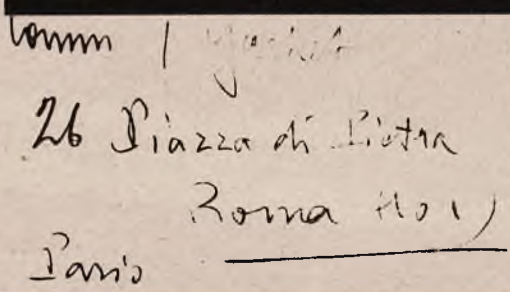
Zacząłem tłómaczyć mu tajniki pisma, które posłużyło mi do postawienia djagnozy. — Ma pan zasadniczo męskie i silne pismo, z którego promieniuje siła. Ale niech pan się przyjrzy literze P w słowie „Pietra". Litera ta jest — bez potrzeby — podkreślona. A cóż to oznacza? Jest to poprostu linja cięcia na pańskiem ciele wykonana nożem chirurga. Właśnie to duże P wskazuje na obawy jakie pan żywi. Na tę obawę i utratę sił wskazuje też cienka niezwykle pętla litery P. To samo zresztą powtarza się przy słowie Paris. Wtedy to obawy pańskie były jeszcze większe i nie mógł pan tej pętli napisać jednym tchem, lecz przerwał ją pan. I tu występuje podkreślenie litery.

Gość mój był oczywiście i tym razem zdumiony to też zaraz po moim małym wykładzie zapytał: — Ale niech pan mi powie na co potrzebował pan mego podpisu aż w trzech wydaniach?

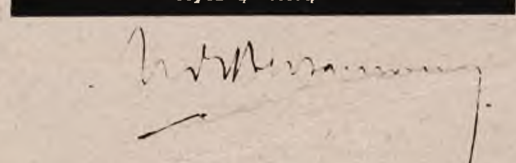
— Chciałem się przekonać, czy pańska choroba jest prawdziwa czy też wyimaginowana, gdyż prawdziwa choroba znajdzie swoje odbicie w różnych symptomatach pisma i stanowi jego istotny składnik. Chciałem zobaczyć czy ta domniemana choroba zagnieździła się już niejako w pańskiem piśmie tak jak choroba rzeczywista. I cóż zobaczyłem? zaraz w pierwszym podpisie znów odkryłem to cięcie nożem, jakie miało ukazać się na pańskiem ciele. Również podkreślenie litery wskazuje na pańską myśl, ale tym razem myślał pan o tem mniej silnie. Przy drugim podpisie obawy pańskie wogóle już nie występowały: niema podkreślenia, ani cięcia nożem. Przy trzecim wkońcu podpisie stał się pan znów „recydywistą" i to w najwyższym stopniu. Cięcie idzie tutaj niezwykle mocno i głęboko. Ale jak już powiedziałem prawdziwa choroba nie może powodować takich skoków w piśmie, człowiek naprawdę chory nie może podlegać takim zmianom nastroju, aby raz myślał o chorobie, a potem o niem zapomniał zupełnie.



Pismo żony specjalisty chorób sercowych.



Pismo chorego z urojenia z charakterystyczną literą P.



Trzy podpisy chorego z urojenia.

* * *

Kiedyś zgłasza się do mnie, w Paryżu, żona jednego z najsławniejszych specjalistów sercowych, aby zasięgnąć mej rady w sprawie pewnego listu z pogróżkami, który właśnie co otrzymała. Zobaczywszy ją uczułem gwałtowną potrzebę ujrzenia jej pisma. Poprosiłem ją o skreślenie kilku słów. Brzmiały one: „Już od roku widzę zbliżającą się katastrofę. Hanie".

— Widzę, że pani przed 8 lub 9 laty gwałtownie schudła i chorowała wtedy na serce. Moja klientka po chwili namysłu potwierdziła moje przypuszczenie oświadczając, że rzeczywiście 9 lat temu schudła w sposób zastraszający i cierpiała na serce. Słuchając jej słów narysowałem serce przeciągając w jego środku kreskę.

— Cierpienie sercowe, o którem pani mówi, trwa do dziś dnia. Czerwona kreska, którą przeciągnąłem przez narysowane serce zaznacza miejsce, w którem serce panią najbardziej boli. Gdy ból daje o sobie znać, ma pani wrażenie jakby ktoś serce przecinał końskiem włosiem na pół.

Klientka moja była zdumiona tem co jej powiedziałem prostując jedynie, że ból robi raczej wrażenie, jakby był spowodowany

DERBY WARSZAWSKIE MIEJSCEM RENDEZ-VOUS ELEGANCKIEGO ŚWIATA





Na nowym torze wyścigowym na Służewcu, który po kilku latach budowy oddano niedawno do użytku, odbył się wielki bieg „Derby", gromadząc rekordową ilość publiczności, a wśród niej cały high-life stolicy. Urządzenia toru prezentują się niezwykle okazale, a sam tor należy do największych w Europie (zbudowano go kosztem około 20 miljonów zł.). Bieg Derby zakończył się porażką faworyta. Zwyciężył bowiem mniej liczony „Colt" ze stajni H. Broszkiewicza, wyprzedzając o szyję outsider'a „Nerona III". Na zdjęciach powyżej widzimy dwie grupy na paddocku — w pierwszej od lewej: Roman hr. Potocki, hr. Mycielska, Józefowa hr. Potocka, Józef hr. Potocki i gen. Regulski — w drugiej zaś: sen. Eryk Kurnatowski, generałowa Regulska i Olgierd ks. Czartoryski (w okularach). Fot. „As".

Z KRONIKI ŚLUBNEJ



W kościele garnizonowym w Poznaniu został pobłogosławiony związek małżeński między p. Hanką Kowalską, córką profesora Uniwersytetu Poznańskiego, a p. Romanem Rożałowskim, porucznikiem poznańskiego pułku ułanów. — Na zdjęciu obok: Młoda para opuszcza kościół wśród szpaleru oficerów i podchorążych pułku, pod rzędem skrzyżowanych szabel.

Fot. „AS".

LITWINI TAŃCZĄ



Na wielkim pokazie tańców ludowych, zorganizowanym niedawno w Hamburgu wielki sukces zdobyła grupa litewska, której produkcje, niezwykle oryginalne i barwne stroje narodowe korzystnie się wyróżniały wśród innych zespołów.

Fot. Scherl.

„BARON KIMMEL" W TEATRZE 8·15



„Baron Kimmel" operetka Waltera Kollo, jest ostatnim sukcesem „Teatru 8.15" w Warszawie. Wyróżnia się doskonała gra zespołu aktorskiego w osobach pp.: O. Obarskiej, L. Niemirzanki, Z. Ordyńskiej, (na zdjęciu) I. Syma, S. Sielańskiego, T. Faliszewskiego, I. Soboltównej i E. Wojnara. Dyryguje Ludo Philipp.

cięciem brzytwą do golenia. Po chwili opuściła mnie, by powrócić za pewien czas z swym mężem, znanym specjalistą w dziedzinie chorób sercowych. Na przywitanie rzekł do mnie sławny lekarz:

— Panie Schermann, ja sam jestem specjalistą w chorobach sercowych, toteż pańskie djagnozy niezwykle mnie ciekawią. Do tychczas nie wierzyłem wprawdzie w grafologję, ale tym razem nie mogę zaprzeczyć realnym jej wynikom. Niech pan mi wytłómaczy z jakich szczegółów pisma zdołał pan wysnuć wniosek o rodzaju bólu serca? Niech pan mi pokaże na piśmie mojej żony to miejsce, które pana poinformowało o chorobie jej.

Zwróciłem mu wtedy uwagę na pewne szczegóły w próbce pisma, którą mi jego żona zostawiła, a przedewszystkiem na niezwykle cienką i nikłą kreskę ciągnącą się od litery „J" do litery „a" w słowie „Jahre", na kreskę ciągnącą się od litery „H" do „a" w słowie „Hanie", wkońcu na tę samą kreskę w powtórzonem słowie „Hanie". Te właśnie kreski, chociaż niezwykle nikłe, oznaczają dla mnie, że osoba pisząca odczuwa ból serca spowodowany jakby przecinaniem jej serca. W słowie zaś „seit" litera „s" zawiera rysunek symboliczny serca. W ten sposób zdołała psychografologja przekonać znanego lekarza-specjalistę, że ona również może przynieść ważne wskazówki w odkrywaniu chorób.

* * *

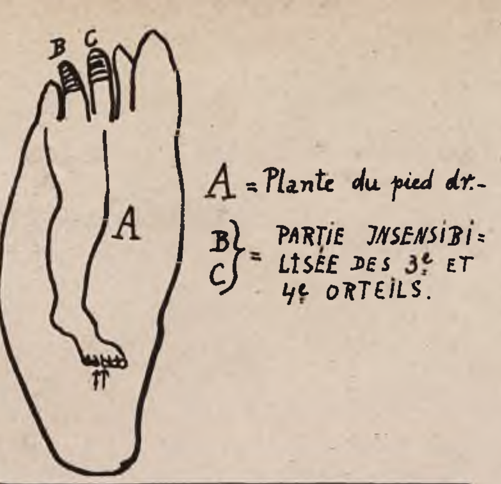
W r. 1936 znalazłem się znów w pięknej stolicy Węgier — Budapeszcie. Zaproszony na obiad przez naczelnego redaktora pisma „Ostkurier" Bekessy'ego i jego małżonkę spotkałem tam również red. „Pesti Napló" dr. Földi i jego żonę. Podczas obiadu mówiliśmy o różnych rzeczach nie poruszając jednak spraw naukowych ani odnoszących się do psychografologji. Dopiero przy czarnej kawie wręczono mi próbkę pisma, celem wydania mego orzeczenia. Kartka pisana była po węgiersku i wycięta zapewne z większego listu. Widząc, że autor listu zagrożony jest wielkiem nieszczęściem spytałem czy nie jest on krewnym mych gospodarzy, poczem wydałem następującą djagnozę:

— Człowiek, który pisał te słowa jest niezwykle zdolny, niestety czeka go smutny los, gdyż w najbliższym czasie zaniewidzi. Już teraz zdolność widzenia znacznie się zmniejsza. Ale mogę państwa uspokoić, gdyż po operacji jaką przejdzie odzyska on wzrok i będzie lepiej widział niż dotychczas.

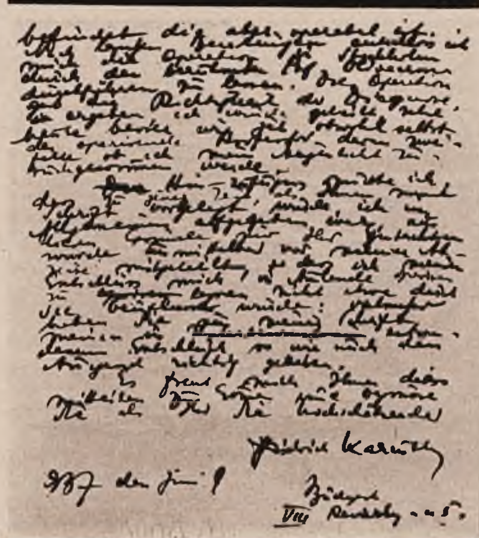
Moi znajomi przysłuchiwali się moim słowom, z niezwykłem napięciem, prosząc mnie abym jeszcze coś o piśmie powiedział. Ciągnąłem więc dalej:

— Widzę, że powodem ślepoty będzie bańka: znajduje się ona w mózgu w pobliżu nerwu wzrokowego i napełniona jest wodą. Naciska ona na nerw i spowoduje, gdy powiększy się, zaniewidzenie. Ale jestem pewny, że operacja, która odbędzie się zagranicą usunie chorobę i uda się, gdyż osoba ta jest dzieckiem szczęście i przetrzyma te ciężkie chwile.

Milczenie przerwał wkońcu jeden z obecnych mówiąc, że autorem tych słów jest znany węgierski autor i poeta Fryderyk Karinthy, który krótko przed mojem przybyciem do Budapesztu, po długiej walce z wzmagającą się chorobą zaniewidział. Przedłożone mi pismo zostało skreślone krótko przed zupełnem oślepnięciem autora, który obecnie bawi w jednem z sanatorjów budapeszteńskich. Djagnoza jego choroby brzmi: tumor na mózgu. Miano go właśnie operować, by ratować mu życie, nie miano jednak nadziei, aby można zwrócić mu wzrok. Djagnoza moja ogromnie ucieszyła obecnych toteż miano go zaraz o



A — rysunek stopy p. Aubray, B i C — obumierające palce.



Koniec listu Fr. Karinthy'ego.

niej zawiadomić. Ja sam niestey nie mogłem odwiedzić znanego poety, gdyż następnego dnia miałem udać się do Paryża.

W cztery mniej więcej miesiące później byłem znów w Budapeszcie, gdzie znajomi moi przywitali mnie rodosną nowiną: Karinthy usłyszawszy moją djagnozę udał się do wiedeńskiego okulisty prof. Pötzla, który skierował go skolei do znanego na cały świat specjalisty w Sztokholmie. Operacja udała się nadspodziewanie. Powodem utraty wzroku była cysta, czyli, jak się po laikowsku wyraziłem, bańka z wodą, która uciskała na mózg i nerwy wzrokowe. Karinthy odzyskiwał z dnia na dzień wzrok i był na najlepszej drodze do zupełnego wyleczenia.

W rok później znów byłem w Budapeszcie i otrzymałem wtedy list od p. Karinthyego, który zupełnie wyzdrowiał, następującej treści:

„Szanowny panie Schermann. Dowiedziawszy się, że pan bawi w Budapeszcie uważam za mój obowiązek poinformować pana o niezwykłych doświadczeniach i wrażeniach, jakie w związku z moją chorobą i mem wyzdrowieniem, spowodowała pańska analiza psychografologiczna. W osiem dni po pańskiej ekspertyzie postawiono mi w klinice wiedeńskiej dr. Pötzla djagnozę, że w mózgu moim znajduje się cysta, tj. rodzaj bańki napełnionej wodą, której jednak nie można zoperować. Po długim namyśle zdecydowałem się poddać operacji u prof. sztokholmskiego uniwersytetu Olivacrone. Pańskie przewidywania wypełniły się w pełni gdyż po operacji widzę lepiej jak poprzednio, chociaż operujący lekarz wątpił w rezultat. Cieszy mnie, że mogę panu to zakomunikować i łączę ukłony szczerze oddany Fryderyk Karinthy Budapeszt VIII. Reviczky u. 5. 9. czerwca 1937 r."

* * *

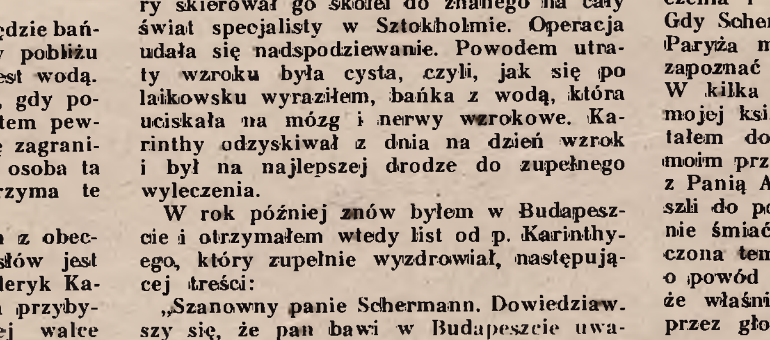
Pewnego razu otrzymałem z Rumunji próbkę pisma którą stanowiła jedynie koperta. Na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że autorka tego pisma jest młodą piękną dziewczyną pochodzącą z najlepszych sfer, która zapewne studjowała zagranicą i bardzo dba o swoją figurę. Jakkolwiek jest bardzo smukłą i dosyć wysoką stara się przesadnie o utrzymanie linji swej figury. Z tego też powodu stara się tak mało jeść, że nieraz jest głodna i wyczerpana. Chcąc zachować piękną linję jeździ ona chętnie konno, a skutkiem tego jest że nieraz cierpi na bicie serca. Uderzenia serca są nieraz tak silne, że przypominają uderzenia młota o kowadło: powoduje to u niej zrozumiałe zdenerwowanie kończące się ogólnem drżeniem ciała. Zawiadomiłem o tych spostrzeżeniach jej matkę i radziłem powiedzieć o tem lekarzowi. W odpowiedzi otrzymałem od matki młodej osoby następujący list: „Zdziwiłam się bardzo dowiadując się o szczegółach, które pan odnośnie mojej córki wyczytał z jej pisma, a mianowicie, że cierpi nieraz na bicie serca i że się głodzi, aby jeszcze zeszczuplec. Porozumiem się z moim lekarzem, aby poradził jej przeprowadzenie kuracji odżywczej."

Tak raz jeszcze psychgrafologja przyczyniła się do zwrócenia uwagi na niedomagania fizyczne.

* * *

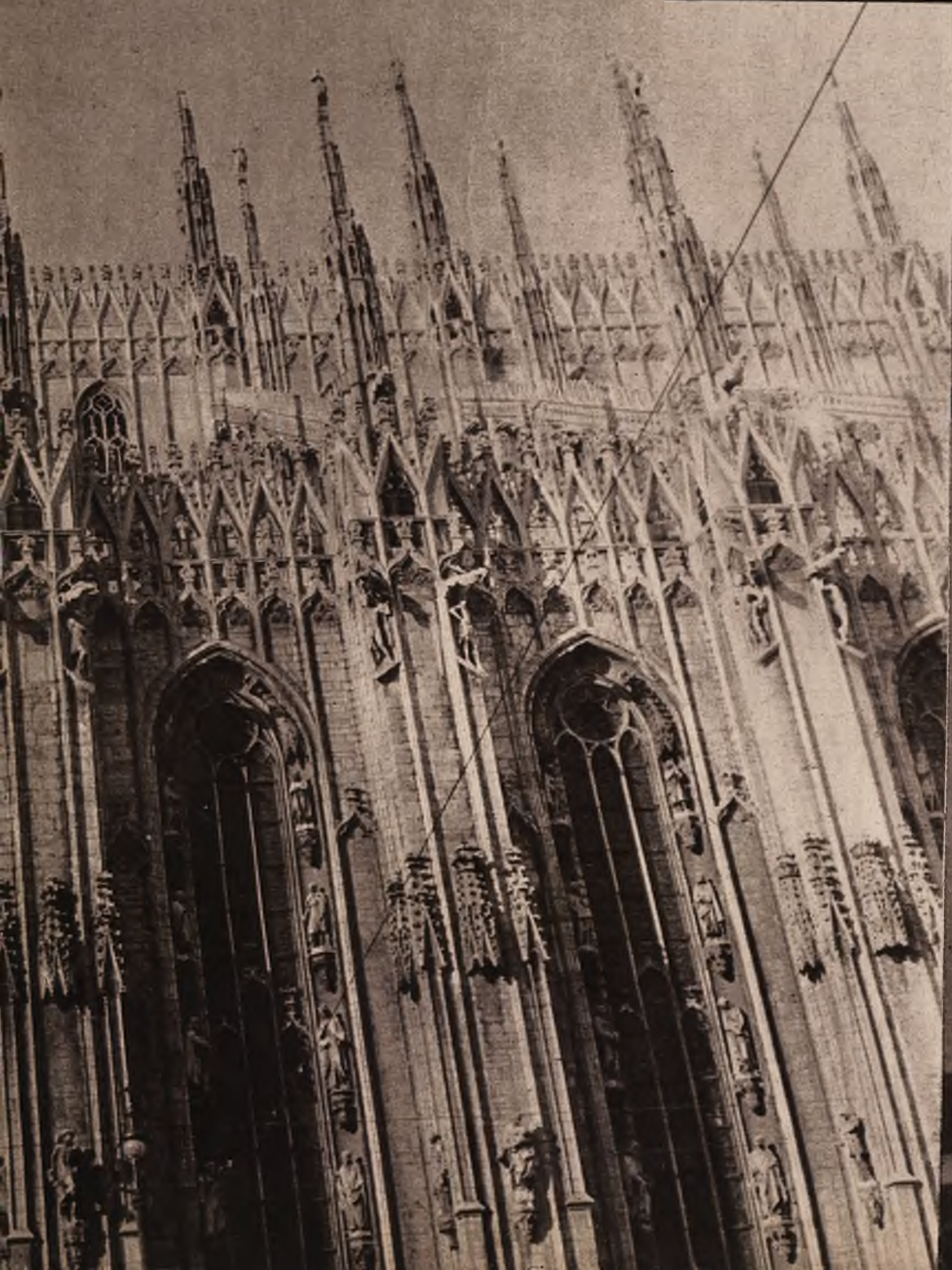
W Paryżu zamieszkuje znana autorka pani Teresa Aubrey, której dzieła czytane są w całem świecie. Gdy doktor Iwan Goll, zamieszkały w Paryżu autor, przetłumaczył moją książkę „Pismo nie kłamie" i wydał ją w nakładzie Gallimard, wspomniana pani Aubray dopytywała się u niego z niezwykłem zainteresowanem o moje doświadczenia i studja na temat psychografologji. Gdy Schermann przyjedzie w przyszłości do Paryża musi mnie pan z nim koniecznie zapoznać — rezkła na pożegnanie do Golla. W kilka tygodni później po ukazaniu się mojej książki t. j. na wiosnę 1926 r. zawitałem do Paryża. Goll dowiedział się o moim przyjeździe i wkrótce odwiedził mnie z Panią Aubray w hotelu. Ledwo oboje weszli do pokoju, a już zacząłem się serdecznie śmiać: pani Aubray była nieco zaskoczona tem przywitaniem, a Goll spytał się o powód tej wesołości. Wytłumaczyłem się, że właśnie coś śmiesznego przeleciało mi przez głowę o czem chętnie później opowiem tymczasem jednak chciałbym poznać pismo mojej klijentki. I dodałem wkrótce — Będą państwo mogli wziąść udział w moim dobrym humorze. P. Aubray napisała następujące zdanie: „Już jako małe dziecko chętnie robiłam różne żarty. Czy moje zgryzoty się skończą?". Nachyliłem się nad kartką i począłem mówić: — Przed wielu laty musiała pani przebyć gwałtowną kurację odtłuszczającą.

Ciąg dalszy nastąpi.



Pismo autorki francuskiej T. Aubray.

DWA OBLICZA MIASTA



KATEDRA W MEDJOLANIE



ULICA W PARYŻU

Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

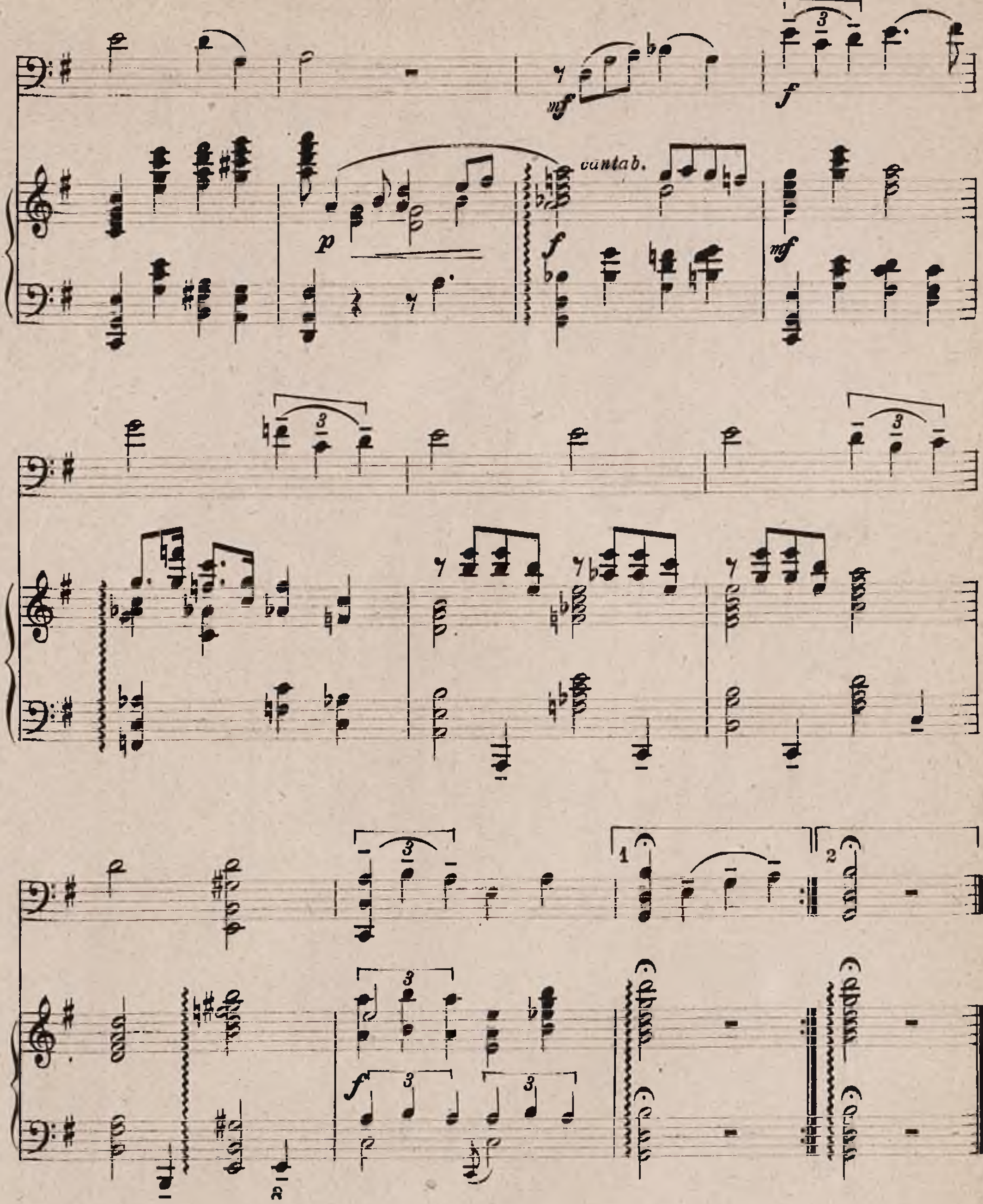
Zaduma

INTERMEZZO Z „BALETU ORJENTALNEGO"

na wiolonczelę z tow. fortepianu

JULJUSZ LEO.





WIESŁAW GORECKI

Bosonóżka
Z TATE GALLERY

★

NOWELA

Błysnęło nagle i huknęło po chwili. Napół oślepiony, oparł się o sosnę. Pień jej był oślizgły i szorstki. Poprzedzony błyśnięciem, znów uderzył piorun. Z popękanego widnokręgu wylewała się mdłemi strugami woda. Wicher sapał astmatycznie. Sosny trzepotały się bezradnie.

Bumm — zadudnił grom. Zdawał się wycofywać z ogrodowego gąszczu. Woda bulgotała kałużami, na które spadały zajadle grube krople. Rozpryskiwały się, rozbijały o przemoczoną ziemię — o tysiączne, wgniecione w nią korzenie. Wielki Muzyk dygotał radośnie. Wydarł burzy motyw przewodni. Z narażeniem życia. Piorun mógł go przeszyć tylekroć. Muzyk nie szukał schronienia. Teraz grzmoty i błyski oddalały się. Deszcz już nie chlustał. Uspokojony chlapał, ciapał i pluskał. Lśnienia, blaski i połyski drżały na gęstej trawie, zawieszały się na gałązkach ostrężyn.

Błysk — huk. Zarazem w reflektorze błyskawicy wytrysnęła jakaś dziko krzycząca postać. Wielkiemi skokami odbijała się od ziemi. Za nią gnał, w olbrzymich susach, czarny kundel. Wielki Muzyk, bez zastanowienia, rzucił się za ową postacią. Płuca rozdęły się wysiłkiem. W oczach poczerwieniało. Chwycił postać za włosy. Szarpnęła się, gwałtownie zwróciła ku niemu ociekającą deszczem twarz. Zduszony krzyk. Wielki Muzyk wpił ręce w ramiona zjawy. Z głośnym skowytem runął nań czarny kundel. Powalił poszukiwacza przygód i już sięgał kłami do gardła.

— Smok! Waruj! — wrzasnęła postać. Pies przycupnął przy niedoszłej ofierze. Wielki Muzyk powstał i mętnie przyglądał się postaci.

— Nic się panu nie stało?

— Cóż to, uciekła pani z Sielanki Greifenhagena? — zawołał w odpowiedzi.

Dziewczyna roześmiała się.

— Może przypominam tę postać. Ale pan nie jest podobny do jej partnera.

— Mniejsza o mnie. Proszę mi wybaczyć, że ścigałem panią. Sądziłem, że to duch burzy albo jakiś elf ogrodowy. Teraz widzę, że znudził się pani pobyt na powierzchni płótna, w londyńskiej Tate Gallery i uciekła pani tutaj.

— Ale Smok nie ugryzł pana?

— Nic mi się nie stało. Coprawda zawdzięczam pani moje życie. Gdyby pani nie odwołała swego pieska, leżałbym z przegryzionem gardłem.

— Pewnie. Smok dałby panu rady — wyrzekła z przekonaniem. — Idź do domu — zwróciła się do kundla, który kiwnął zgodliwie łbem, łypnął podejrzliwie na swego przeciwnika i bez pośpiechu zniknął w zaroślach.

— Dziwne. Przepadam za zwierzętami i myślałem, że żadne z nich nie rzuci się na mnie. Pokazuje się...

— Pokazuje się — przerwała — że Smok jest do mnie przywiązany.

— Nie chciałem pani wyrządzić krzywdy — wzruszył ramionami Wielki Muzyk.

— A cóżby pan ze mną uczynił?

— Zaniósłbym w ciepłe miejsce, posadził koło rozpalonego komina, aby pani uniknęła przeziębienia.

— To mi nie zagraża. Ciepły, sierpniowy deszcz. Kochany.

Spojrzał na nią z niesmakiem. Już egzaltacja. Dziewczyna odezwała się:

— Taki mieszczuch, jak pan, to śmieje się z mojej przesady.

— Skądże pani wie, że jestem mieszczuchem?

— Bo i ja jestem z miasta. Pozna swój swego. A może pan chce oschnąć...

— To drobiazg. Pozwoli pani, że się przedstawię: Stański.

Licząc się z impulsywnością dziewczyny, oczekiwał zdumienia i zmieszania, jeśli słyszała co o nim, — obojętności zaś w przeciwnym razie. Dziewczyna przyglądnęła mu się dość uważnie, mówiąc.

— Marzeńska. To pan jest tym kompozytorem?

— Którym?

— Tym, co to napisał poemat muzyczny „Cytryna na śmietniku".

— Do usług — skłonił się Stański.

— Nic z tego nie zrozumiałam — oświadczyła Marzeńska. Autor „Cytryny" wpatrywał się w dziewczynę. Istotnie, przypominała postać Greifenhagena. Włosy, niemal czerwone, potargane, zmokłe sięgały jej poza ramiona. Paskudna, perkalikowa, licho wie dlaczego jaskrawo fjoletowa suknia oklejała smukłe kształty, nie kryjąc kolan. Oczy jasno zielone, wąsko rozcięte. Nos krótki, niezbyt regularny. Usta bezkrwiste. Brzydula. Znaki szczególne — wypełniał w myśli urojony rysopis — nieziemsko piękne, wprost anielskie, bose nogi.

— Wniosek ogólny? — zagadnęła.

— Czego?

— Pańskich oględzin. Wiem, że jestem brzydka i nie czekam na banalne zaprzeczenie.

— Nie będę na tyle banalny. Urodą pani nie grzeszy.

— Czy uroda jest grzechem? — zawołała spłoszona.

— Nie wiem. Grzech powinien być urodziwy. Któżby się nań inaczej złakomił? Kiedy panią odwiedzi zło, w postaci kościotrupa, zasłoni pani z lękiem oczy. Kiedy zjawi się, jako urodziwy demon, obdarzy go pani chyba łaskawem spojrzeniem.

— Tak — mruknęła, jakby do siebie. Już to ja nie sprowadzę nikogo z drogi cnoty.

— Żałuję — dorzuciła naraz — że nie mogę rzec: uroda pana jest zdawkowa albo świadcząca o powodzeniu u kobiet. Z tem wszystkiem, nie jest pan moim typem.

— Jakże mnie to martwi — westchnął Wielki Muzyk.

— Nic panu na mnie nie zależy, więc poco ten antyszambrowy Wersal — odparła. Chyba nie pragnie pan wywierać na kimkolwiek jaknajlepszego wrażenia.

— Jaka pani dziecinna. Któż tego nie pragnie. W kwestji formalnej: „A lat masz ile?" zanucił frazą z „Madame Butterfly".

— „Zgadnijcie śmiele" — odśpiewała Marzeńska.

— „Dziesięć"? — nucił rozbawiony Stański.

— „Zamało" — Tu dziewczyna wykonała ruch, jakby wstydliwie zasłaniała twarz nieistniejącym wachlarzem, następnie japońską modłą usiadła na wilgotnej trawie. Wielki Muzyk zatremolował:

— „Dwadzieścia"?

— „Za wiele". — Naraz przestała nucić i rzekła:

— Koniec „Butterfly". Skończę 17 lat w grudniu. O ile skończę.

— Co to... Makabryzm?... Jakież to trywialne.

— Niestety. Cokolwiek prawdziwe, jest trywialne — odparła spokojnie.

— Jak mam to rozumieć?

— Zaraz odpowiem. Ale może pan chce się schronić przed deszczem...

— Zna pani jaką kryjówkę?

— Pójdziemy do takiej budy.

Pobiegła. Za nią zdążał Stański. Jeśli naprawdę znajdziemy jakieś ukrycie, wtedy... Kpem będę, jeśli nie zaznajomię tej smarkatej z tem co się nazywa miłością. Marzeńska wtargnęła do skleconej z desek budy. W mroku dojrzał zarysy żłobu. Dziewczyna wyciągnęła się na zasypanej liśćmi podłodze.

— Jest miejsce i dla pana. Proszę.

— Nie ciekawa pani, co mnie sprowadziło do ogrodu?

— Jeszcze jak. Któraż kobieta nie jest ciekawa...

— Dlaczego więc...

— ...nie zagadnęłam pana o to? Może pan pragnie, aby wszystko pozostało niedomówione...

— Jakie „wszystko"?

— Lub, jak pan woli: wszystko i nic. Pościg za nieznajomą, efekty świetlne, godne niezgorszej sceny operowej, walka z psem, ucieczka przed deszczem. Kto wie... Może pan znalazł jakiś motyw...

— Mam. Ale zaczerpnąłem go, zanim panią ujrzałem.

— To obojętne. Pan wyinscenizował sobie spotkanie ze mną.

— Skądże pani wie o tem?

— Tak mi się wydaje.

— Niezbyt inteligentna dedukcja.

— Któż panu powiedział, że jestem inteligentna... Jestem w miarę głupia. I co z tego?

— Jest pani przedewszystkiem niegrzeczna.

— Może pan dodać: niewychowana. Nie minie się to z prawdą.

— Przytem zgrywa się pani na niegrzeczną, myśląc, że to oryginalne.

— Może pan myśleć, co zechce. — Dziewczyna gwizdnęła lekceważąco.

— Gdyby pani była oczytana, wiedziałaby, że niema banalniejszego typu, od stwarzanego przez panią.

— Ma pan na myśli owe dzikuski, dziewczyny ze skalistego wybrzeża i t. d. Słusznie.

— Oto są skutki rozczytywania się w podobnych błahostkach.

— Nie mam przygotowania do zgłębiania teoryj Hoene-Wrońskiego.

— Jak na 17 lat, mówi pani obecnie rozsądnie.

— Każdy ma lucida intervalla.

— Miałem powiedzieć, co mnie tu sprowadziło...

— Sprowadziło pana zaproszenie gospodarzy tego domu — przerwała Marzeńska. Nie są to moi krewni. Przyjechałam na wakacje do mojej ciotki. Spełnia ona w tym dworze czynności księgowej, potrosze klucznicy, potrosze gospodyni. Dama do wszystkiego. Co tu się działo przed przyjazdem pana... Cały dwór był jak zwarjowany. Najstarszy syn pana domu, podobno znawca i miłośnik muzyki, chełpił się ze znajomości z panem i z przyjęcia przez pana zaproszenia. To też dygrywał: co, jak, gdzie. Ze snobizmu chciałam pana poznać. Ale jak? Towarzysko nie znajduję się na wymaganej płaszczyźnie. Już chciałam wykonać jakiś fantastyczny taniec pod oknami pańskiego pokoju. Pan przyjechał. Widziałam go z daleka. Rozczarowałam się. Spodziewałam się, że wygląda pan jak archanioł, a pan ma wyraz myśliciela i poety. A to chyba różnica — mówiła, zdejmując spokojnie rękę Wielkiego Muzyka ze swego ramienia. — Ale co pana skłoniło do wyruszenia do ogrodu, w taki deszcz?

— Zbudziłem się, odziałem i wypadłem z domu. Marzyłem o takiej burzy.

— Słowem, opłacił się panu przyjazd tutaj?

— Tak. Mam motyw. — Przeczekał chwilę i zauważył: — Byłem pewny, że pani odezwie się: czy tylko motyw?

— Na co pan odpowiedziałby: ach — i jeszcze coś. Jabym się wtedy zarumieniła. Pan przybliżyłby się do mnie...

— Uczynię to bez tego dialogu — uśmiechnął się Stański.

— Nie uczyni pan, bo nie pozwalam na to.

— Ejże? — Wielki Muzyk opanowywał podniecenie.

— Niech pan spróbuje.

Wielki Muzyk chwycił dziewczynę w objęcia. Spojrzała mu w oczy.

— Djabli — syknął.

Ręce mu opadły. Zadawaj się z dzierlatkami.

— Poskromienie złośnika — mruknęła.

— Niech pani nie sądzi, że jest w niej jakaś nadprzyrodzona siła. Jakaś potęga wzroku. Śmieszne. Ściągnęła mnie tu pani i teraz popisuje się swą zimnokrwistością, będącą raczej nierozbudzeniem zmysłów.

— Któż panu rzekł, że zmysły moje śpią? Nawet nie drzemią. Ale dlatego mam panu paść w objęcia?

W każdym razie nie powinna pani wygrywać na moich zmysłach. Proszę przynajmniej okryć nogi suknią.

— Nie chce mi się — odparła leniwie. Jedyne, co mam piękne, to właśnie nogi.

— I dlatego ugania pani boso po ogrodzie, panno...

— Tereso.

— Bosa panno Tereso, jest pani niezwykle przewrotną osobą.

— Niechże pan trwa w tem przekonaniu, że czyhałam na niego w ogrodzie.

— Gdybym ujrzał ślady pani niewiarygodnie pięknych stóp, przysiągłbym że to Anioł France'a...

— ...znudzony pobytem w powieści, zstąpił do tego ogrodu. Miałby pan nieco podobny wątek, jak w „Pustyni Kamiennej" Wasta.

— Nie czytałem jej — wyznał Stański. — Wzamian stwierdzam oczytanie pani.

— Skutki mego zawodu.

— Czy jest pani lektorką?

— Ekspedjentką we wypożyczalni książek.

— W takim razie zobaczymy się często. W której pani pracuje?

— W beletrystycznej.

— W którem mieście?

— W tem, w którem i pan przebywa.

— Nieźle. Gdybym był powieściopisarzem, uwieczniłbym chętnie naszą rozmowę.

— Może pan wydobyć kilka taktów, które według pana miałyby związek ze mną.

— Miałyby...?

— Według pana: będą miały. Inni się nie domyślą. I to będzie nasza tajemnica.

— Dlaczegóż to tajemnica?

— Bo pan nie opowie nikomu o tem, co tutaj zaszło.

— Czy to tak niezwykłe?

— Przeciwnie. Tak szablonowe, że wstyd się przyznać. Deszcz nie pada. Może pan wracać do domu.

— Bynajmniej nie mam tego zamiaru.

— Jak wola. Do widzenia.

Powstała. Wielki Muzyk zerwał się z podłogi.

— Pani odchodzi?

— Ciotka pewnie szuka za mną. Dostanę burę, żem wybiegła na deszcz.

— Powiedziała pani: do widzenia. Czy z rozmysłem?

— Przenigdy. Z przyzwyczajenia.

Stański rozglądnął się wkoło.

— Cóż to za kryjówka, którą mamy opuścić?

— Tu były sarenki. Ale ktoś je struł. Obecnie tu nikt nie przychodzi.

Z kieszonki sukni wyciągnęła dwie fjoletowe wstążki. Sprawnie oplotła niemi stopy, jakby rzemykiem sandałów.

— Co pani wyprawia? — zdziwił się.

— Wciągam moje sandałki. Nie mają podeszew, ale i tak są ładne. Prawda?

— Tak. Może mi pani je ofiaruje, na pamiątkę.

— Dobrze — uśmiechnęła się lekko.

— A czy wolno mi je zdjąć własnoręcznie?

— Kompozytor Stański u moich stóp, w dodatku bosych? Nie przyżyłabym tego szczęścia.

Zagryzł usta. Teresa ściągnęła ze swych stóp wstążki.

— Proszę.

Pobiegła śpiesznie. Na wilgotnym piasku kładły się ślady drobnych stóp. Wielki Muzyk zatarł jeden z nich trzewikiem. Wrócił do domu. Chór domowników biadał polifonicznie nad jego przemoknięciem. Ściągnięto zeń odzienie, wpakowano go w pidżamę. Łykał gorącą herbatę z rumem. Potem partyjka bridża. Co robić na wsi, gdy po deszczu tak mokro? Obmyślał tysiączne sposoby naprowadzenia rozmowy na temat tej smarkatej. Wiedział, że najpierw zdziwią się, poczem skwapliwie dostarczą mu wyczerpujących wiadomości. To doprowadzało go do wściekłości. Leżał bez czterech, wymamrotał coś i wypadł do ogrodu. Partnerzy odprowadzali go wzrokiem, w którym oburzenie graczy współzawodniczyło z niekłamanym zachwytem dla takiej artystycznej dezinwoltury.

Ogród był zdyszany i młodzieńczy. Muzyk powlókł się w stronę gąszczu, w którym ukazał się ten zuchwały, bosy podlotek. Nie mógł odnaleźć drogi. Potykał się, wpadał w kałuże. Aż ujrzał rozsnute w piasku ślady dziewczęcych stóp a raczej palców. Ostatni ślad zatarty był jego trzewikiem. Wpił wzrok w piasek. Dokąd tu będę stał.—Oszalałem. Naraz usłyszał głos Marzeńskiej. Natychmiast ukrył się za olbrzymim dębem. Panna Teresa, wyśpiewując coś nikle i bezbarwnie, zbliżała się ku dawnej stajni sarenek. Minęła Wielkiego Muzyka, nie dostrzegając go. Weszła do stajni. Już chciał pójść za nią, gdy dziewczyna ukazała się, trzymając coś w ręku. Co to może być? Przedmiot niewielki, skoro ukrywa się w dłoni. Teresa oddalała się, lśniąc w słońcu rudością włosów, fjoletem sukienczyny i różowością nóg.

— Bawić się w detektywa? Dość tego — zawyrokował. Wieczorem wyjechał. Nie pomogły prośby i niemal groźby domowników. Przybywszy do siebie, rozpoczął pisać. Pławiąc się w odmęcie tonów, zdawał się zapominać o tem śmiesznem zdarzeniu. Po niespełna trzech tygodniach, muzyka do baletu „Sielanka Greifenhagena" była ukończona. Darmo wmawiał w siebie to i owo. Gdyby nie owa smarkula, nie napisałby tego. Balet złożony został w dyrekcji opery. Zachwyty. Jutro przystępujemy do prób. Przystąpiono po dwóch miesiącach.

Na pierwszej próbie Stański zwymyślał dotkliwie autora scenarjusza i oświadczył: Muszę polegać na sobie samym. Zamknął się w swej pracowni. Wpatrywał się w reprodukcję „Sielanki" Greifenhagena. I na zieloną łąkę przyfrunęła lekko postać bosego dziewczęcia. Nie doczekawszy się przyjścia ukochanego, dziewczyna odeszła zawiedziona. Na miejscu łąki wyrósł lokal dancingowy. W nim, osobnik we fraku, zblazowany, dziwnie podobny do Wielkiego Muzyka, przygląda się produkcjom girlsów, solistek. Osobnik we franku ziewa nieznacznie. Wtem kierownik dancingu przyprowadza nową tancerkę. To dziewczyna z łąki. Frakowiec leniwie przygląda się jej pląsom. Naraz piorun uderza w lokal dancingowy. Zapalają się ściany. Morze płomieni ogarnia salę. Rozpada się przybytek mieszczuchowskich uciech. W miejscu walących się ścian, rozciąga się dygocąca w deszczu łąka, na niej widnieje sylwetka bosej dziewczyny. Wyfraczony osobnik rzuca się na dziewczynę, ściga ją, dopada, chwyta w objęcia. Zastygają oboje w pozycji postaci Greifenhagena.

Scenarjusz przyjęto bez najmniejszych zastrzeżeń. Teraz Wielki Muzyk zabrał się do dyrygenta. Po kilku słownych utarczkach, sam objął batutę. Objął też kierownictwo efektów świetlnych, podjął się reżyserji, omal nie malował dekoracyj i kostjumów. Kiedy dzienniki doniosły, że Stański, napisawszy scenarjusz i muzykę baletową, wyreżyserował osobiście spektakl i poprowadzi orkiestrę, podziwom nie było końca.

Nadszedł dzień premjery. Nie posłał biletu Marzeńskiej. Jeszczeby sobie wyobrażała, że to z wdzięczności za inspirację. Przytem odczuwał straszliwą tremę. W ciągu prób, aż do generalnej włącznie, odczuwał ustawicznie, wszystkiemi zmysłami różnicę między rzeczywistością a fikcją artystyczną. Nie. Nie. To nie to samo. Primabalerina dokazywała cudów zręczności, była wcieleniem estetyki, piękna, poezji — a jednak czy miała w sobie jedną setną czaru tej rozhukanej bosonóżki?... Dekoracje, kostjumy, świetlne efekty olśniewały wzrok. Ale czy istnieją jupitery, mogące zastąpić blask słońca? Jakaż dekoracja zdoła współzawodniczyć z delikatnością mokrej trawy? A jego muzyka. Czyż nie była bezwstydnem kłamstwem, zaganą chwalbą o zdobyciu dumnej brzyduli? Od niej otrzymane dwie fjoletowe wstążki spoczywały w kieszeni fraka. Miały spełniać rolę talizmanów, maskotek, miały uchronić go przed niepowodzeniem.

Zastukał batutą o pulpit i nagle zapragnął cofnięcia się przed tem wielkiem zakłamaniem. Lecz batuta uniosła się bezwiednie. Zaszemrały skrzypce, wtopił się w ich dźwięki cichy odgłos fletu, dołączył się stłumiony obój. Czołgał się drwiąco motyw saksofonu. Kurtyna rozsunęła się. Krajobraz z „Sielanki" Greifenhagena zdawał się wyrastać z brzmienia orkiestry. Zapomniał o sobie. O innych. Do przytomności przywrócił go huragan oklasków. Sukces. Sukces. Triumf! Przelotna myśl: może na widowni, zapewne na galerji, oklaskuje go smukłe, ogrodowe zjawisko.

Bankiet. Powrót do domu. Szukając klucza, sięgnął do frakowej kieszeni. Wyciągnął dwie fjoletowe wstążki. Cisnął je w roztajały śnieg uliczny. Ostatnia nić, wiążąca mnie z domniemanem natchnieniem, zerwana.

Nazajutrz doszedł do przekonania, że mimo wszystko ciekaw jest zdania tej przemądrzałej ekspedjentki. Po kilku dniach wszedł do wypożyczalni beletrystycznej. Muszę ją ujrzeć i pogawędzić trochę. Przedzierał się przez tłum, wypatrując z natężeniem, gdzie ujrzy ogrodową zjawę. Trzeba zapytać jedną z ekspedjentek, czy tu pracuje Marzeńska. Może tę, która wchodzi na drabinę.

Co — co. Ta ruda brzydula, w paskudnych okularach na brzydkim nosie, w grubej, wełnianej, sięgającej do kostek sukni, w powykrzywianych, ciężkich bucikach, to ma być... Nie wierzył własnym oczom. Panna Teresa wyciągnęła z półki książkę. Stojąc na drabinie, przygarbiona, oddychała z trudem. Ujrzała go. Zamrugała oczyma. Książka wypadła z jej rąk na podłogę. Ekspedjentka Marzeńska zachwiała się niezgrabnie i o mało co nie runęła z drabiny. Ukłonił się i wyszedł. Dopadła go na ulicy. Ciskała słowa:

— Byłam na premjerze „Sielanki". Dzieło pana jest wspaniałe. Ale nie mogę o niem myśleć. Mogę tylko myśleć o krzywdzie, jaką mi pan wyrządził. Chciałam pozostać w pana wspomnieniu jako rozhukana, ponętna mimo brzydoty, zdrowa dziewczyna. Kryłam swe kalectwo, krótkowidztwo, posunięte do najdalszych granic. Kiedy byłam na wsi — zanim poznałam pana — codzień — o świcie, wybiegałam do ogrodu. Tam nieoglądana przez nikogo, mogłam zdejmować szpecące mnie ostatecznie okulary i, jak się to mówi, mknąć z wichrami w zawody. Taką mnie pan ujrzał i taką trzeba było mnie zapamiętać. Ale pan przyszedł do wypożyczalni, choć wyraźnie mówiłam: żegnam, nie do widzenia. Musiał mi pan odebrać moją jedyną radość. Zresztą może pan przyszedł nieumyślnie. Ale i tak tego panu nie wybaczę nigdy...

Naraz dojrzała w oczach Wielkiego Muzyka wyraz uprzejmej nudy. Odwróciła się, pochylając głowę. Powlokła się w stronę wypożyczalni. Stański odetchnął z ulgą. Nadszedł maj, roztaczając woń bzu, benzyny i asfaltu. Wielki Muzyk przechodził koło kościoła. Spojrzał na klepsydry, myśląc:

Gdybym nawet wyczytał, że Teresa Marzeńska, ekspedjentka „Wypożyczalni Beletrystycznej", po krótkich lub długich cierpieniach, zasnęła w Panu, przeżywszy lat 17, nie uczyniłoby to na mnie najmniejszego wrażenia. Zrobiła swoje, może odejść. Jeżeli nawet pod jej wpływem powstała „Sielanka Greifenhagena", to później, swym wyglądem w wypożyczalni zepsuła mi nastrój. A jest już w tym wieku, w którym może sobie zdać sprawę z jednego: wszystko można wybaczyć w życiu, prócz rozczarowania.

„NENETTE" i „RINTINTIN"



Lalki przedstawiające parę włościan poleskich.
Zdjęcia Fot. Z. Garzyński — Kraków.



Krakowiak.



Ślązaczka z Zaolzia.



Łowiczanin.



Żywczanka.

Nenette" i „Rintintin" były na ustach wszystkich; wszyscy Paryżanie w czasie wielkiej wojny nosili „Nenette" i „Rintintin"; „Nenette" i „Rintintin" — dwie maleńkie laleczki były symbolem spokoju i humoru, z jakim odpowiada Paryż na grad kul nieprzyjacielskich. Historja powstania i pojawienia się tych laleczek jest interesująca i dość niezwykła.

Przed wielką wojną światową mieszkała w Paryżu grupa Polaków, rekrutująca się przeważnie ze sfer artystycznych. Nastały ciężkie czasy, głód zaczął zaglądać—a wojna nie sprzyjała sztuce. Bywało, że niektórzy żywili się tylko wodą i chlebem, a jak się znalazł papieros, należało to nazwać niebywałą „gratką". Wówczas to przebywająca w Paryżu malarka, pani Stefanja Łazarska wpadła na jednem z zebrań u Mickiewiczów, na pomysł robienia lalek. Powstały pierwsze projekty. Lalki jej wyobrażały regjonalne typy ludowe polskie i w przeciwieństwie do dotychczasowych lalek ujęte były raczej dekoracyjnie i artystycznie. Odbiegały one swoim charakterem zupełnie od mówiących lub śmiejących się lalek niemieckich, dotychczas znanych. Były to nietylko — zabawki dla dzieci, ale raczej ich artystyczne bibeloty. Kiedy p. Łazarska zaniosła swoje projekty do wielkich magazynów, nie odrazu znalazły uznanie. Nic dziwnego, nie miały przecież nic wspólnego, poza nazwą, — z tem co nazywano lalką.

Trzeba było niedługiego czasu i dziwnego zbiegu okoliczności, by sprawa przyjęła zupełnie inny obrót. Oto mistrz Paderewski, jadąc do Ameryki, przejeżdżał przez Paryż ze swoją żoną i wtedy odwiedził p. Łazarskich. Szczególną uwagą otoczyli Paderewscy lalki zwane Jan i Halka. Trzeba bowiem wiedzieć, że poszczególne lalki miały swoją historję i swoje imiona. Jan i Halka powędrowały do Ameryki, jako bezdomne dzieci

Dokończenie na str. 31-ej.

GWIAZDY NA WEEK-END'ZIE

Ola OBARSKA





Oto dwie pozy z życia campingowego Oli Obarskiej.
Fot. R. Burzyński.

Uff, ależ gorąco! Niebiosa zlewają potoki żaru w kamienne studnie ulic wielkiego miasta, po których snują się zmordowani upałem, zziajani, spoceni nieszczęśnicy, skazani na przebywanie w okresie kanikuły w murach stolicy. Kto tylko mógł, uciekł z tego piekła, lecz mimo wszystko, życie toczy się normalnym torem. Jeżdżą tramwaje, huczą fabryki, urzędnicy siedzą przy biurkach, teatry grają. Niektóre nawet cieszą się frekwencją nie ustępującą najlepszym sezonom zimowym. Do tych należy w pierwszym rzędzie stołeczna operetka „Teatr 8.15", w którym trzeci miesiąc idzie z bitymi kompletami arcywesoła komedja muzyczna „Baron Kimmel"

Korzystając z okoliczności, że w tej komedji jedną z czołowych ról gra znana artystka operetkowa Ola Obarska, postanawiam zrobić z tą przemiłą kobietą wywiad na temat, jak sobie radzą nasze gwiazdy z upałami warszawskiemi, jakich używają sposobów i sztuczek, by wieczorem być rześkimi i wypoczętymi i zachować dobre samopoczucie, werwę i humor.

Pani Ola robi tajemniczą minkę.

— Ta odpowiedź wymaga sporo czasu, a podczas przedstawienia nie bardzo nim rozporządzam, — odpowiadam uprzejmie na moje zapytanie. Trudno ją zdefiniować jednem zdaniem. Najlepiej, gdy ją panu zademonstruję nie słowem, lecz czynem.

— Doskonale! — zgadzam się z zapałem i umawiam z artystką na najbliższą niedzielę.

Wczesnym rankiem, co oznacza w sferach teatralnych mniej więcej godzinę dziesiątą, zastaję panią Olę w umówionem miejscu przy kierownicy własnego auta.

— Oto mój serdeczny druh i przyjaciel, który mi pomaga z uśmiechem na ustach znosić przykre konsekwencje pobytu latem w rozpalonych murach miasta — mówi artystka, pieszcząc czułem spojrzeniem swych pięknych niebieskich oczów, zgrabną, lśniącą maszynę. Każdą wolną chwilę wykorzystuję, by uciec za miasto na łono natury i bodaj parę godzin dziennie mieć złudę urlopu. W tygodniu niewiele tego czasu, rano próby z nowej operetki, wieczorem granie. Ale niedziela należy już całkowicie do mnie aż do ósmej godziny wieczór.

— Znając pani dobre serduszko, przypuszczam, że nie zapomina pani w swych weekendowych wycieczkach o koleżankach i kolegach, podobnych pani ofiarach obowiązku, no i upałów! — rzucam pytanie.

— Naturalnie, rzecz jasna i zrozumiała. Stale kogoś ze sobą zabieram — odpowiada pani Ola z czarującym uśmiechem. Choć przyznam się panu, że lubię szalenie samotne wycieczki. Nic mi tak nie uspakaja nerwów i nie łagodzi ran duszy, jak taka warjacka jazda bez celu, bez rachuby czasu, gdzieś,, w nieznane. Wracam wprawdzie zmordowana, ale ze wspaniałem samopoczuciem. No, ale teraz nie czas na gawędy — kończy artystka. Mój stalowy rumak już się niecierpliwi!

Jedziemy. Pani Ola dzielnie daje sobie radę z wielkomiejskim ruchem. Jej małe rączki panują nad kierownicą ze spokojem wytrawnego szofera. Nie upływa kilka minut, a już mkniemy asfaltową szosą przez podmiejskie osiedla, a w pół godziny rozbijamy namiot, w dosłownem tego słowa znaczeniu, wśród uroczego lasku sosnowego.

Nasza miła gosposia znika za zasłoną namiotu i za chwilę ukazuje się w oryginalnej piżamie plażowej, pod którą kryje się mikroskopijny kostjum kąpielowy, taki „ostatni krzyk" mody, w kwiatki, który podziwiamy w trakcie biwakowania na zielonej trawce.

Rozmowa toczy się przedewszystkiem na temat świetnego prowadzenia auta przez artystkę. Dowiaduję się, że p. Obarska jeździ już od lat dziesięciu i że niema prawie zakątka kraju, gdzieby nie dotarła swoim wozem. Poza tem przejechała Francję, jak długa i szeroka.

— Ale co jest najciekawsze i z czego jestem niezmiernie dumna, to jest to, że jeżdżę na samochodzie, który nosi moje imię. Ja się nazywam Olimpia i mój wóz marki Opel Olimpia. Pod tym względem jestem chyba unikatem w świecie sportowym. Może też i dlatego uważam mój samochód za takiego przyjaciela. Mówię poprostu do niego: „Olimpio"! i sprawa skończona. Rozumiemy się doskonale.

— A czy uprawia pani jeszcze jakie inne sporty? zapytuję zapalonej automobilistki.

— Sportów nie. Natomiast mam jeszcze dwie inne pasje. Grę w bilard, w której biję na głowę wszystkich (w tym momencie jeden z towarzyszy wycieczki doskonały bilardzista kiwa potakująco, acz nieco smętnie głową) no i morze, które kocham ponad wszystko. A już naszych dzielnych marynarzy... chronicznie!

Z kolei rozmowa przechodzi na teatr. Pani Obarska przechodzi obecnie próby z nowej polskiej marynistycznej operetki „Panna wodna", której premiera odbędzie się w najbliższym czasie w Teatrze 8.15.

— Gram wyjątkową warjatkę, międzynarodową tancerkę Molly Gagatek — opowiada entuzjastycznie artystka. Doskonała rola wodewilowa, dużo śpiewu, tańca.

Ponieważ w towarzystwie naszym obecny jest kompozytor operetki p. Jerzy Lawina Świętochowski, więc aranżujemy na poczekaniu próbę. Batutę zastępuje uschnięta gałąź, ktoś wali kawałkiem drewna w saganek do wody, czyniąc niesamowity hałas, mający imitować jazz, pani Ola śpiewa i pląsa po murawie, niby nowoczesna boginka leśna w swym barwnym kostjumiku.

Zewsząd otula nas cisza i spokój natury. Zapomina się, że tam daleko dyszy czterdziesto stopniowym upałem zadymiony, zakurzony moloch miljonowego miasta, który za kilka godzin wchłonie w swą paszczę i nas kilka skromnych ofiar obowiązku i pracy.

— A czy pani wyrzekła by się nowej roli dla urlopu? — pytam na pożegnanie artystki.

— Za żadne skarby świata — woła pani Ola z błyskiem w oczach. Kocham teatr ponad wszystko! Ponad wszystkie moje pasje, samochód, bilard, morze, a nawet marynarzy! I gdybym miała się urodzić po raz drugi, nie chciałabym być niczem innem, jak tylko artystką! Z. B.



Skromna suknia na letnie wieczory z jedwabiu w drobne paseczki, stosowane wzdłuż, w poprzek i ukośnie.



Szerokie wstawki haftu zdobią tę piękną tualetę z fjołkowego surowego jedwabiu.

Wszystkie te tualety, tak barwne i powiewne, wyglądają prześlicznie, szczególnie pod gołem niebem. Na tle upalnej, granatowej nocy i wyiskrzonego gwiazdami nieba, mienią się tęczą kolorów i barwami zdobiących je kwiatów, jak w jakiejś scenicznej feerji. Kobiety same wyglądają w nich, jak kwiaty i patrząc na nie, trudno nie wspominać ze zgrozą tych powojennych lat, w czasie których moda w estetycznym upadku stylu i smaku, kazała im szpecić się okropnemi, kusemi i obcisłemi, pozbawionemi linji „garsonkami", różniącemi się od sukien sportowych i spacerowych jedynie strojniejszym materjałem. Dzisiejsza moda przywróciła kobiecie cały jej urok, indywidualność i styl, a nowoczesnym salonom ich dawny blask i estetyczny wygląd.

Lady Like.

Rysunki: EWA LEO

Na prawo: Komplet wieczorowy z tiulu gęsto naszywanego srebrnemi cekinami. Suknię uzupełnia luźne bolerko z rękawami, u paska pęk parmeńskich fjołków. Model: Patou. Paryż.



dobna do kielicha wielkiego kwiatu, składała się cała z luźnych płatów gazy w ślicznie stonowanych odcieniach różowych, liljowych i lawendowo-niebieskich.

Dużo się widuje sukien tiulowych, często z kombinowanych w dwóch odrębnych i kontrastujących kolorach, np. białe z czarnym lub różowe z czarnym. Tiul bywa drobniutko i gęsto przymarszczany, plisowany, gufrowany, często aplikowany kwiatami, ptakami, motylami lub kokardami wyciętemi z jedwabiu lub aksamitu.

Ulubionym materjałem na letnie tualety wieczorowe jest organza i organdi, w delikatne rzadkie kraty kolorowe na białem tle. Nadaje się on również doskonale na popołudniowe strojne suknie na letnie garden-party.

Letnia moda wieczorowa dopuszcza jednak również niektóre materjały lniane i bawełniane, używane na najskromniejsze letnie suknie lub stroje plażowe. Widuje się przy obiedzie na modnych plażach, lub na wieczornych dancingach długie i szerokie, niezwykle efektowne suknie z piki, płótna, kretonu i batystu. Szczególnie ten ostatni jest wynalazkiem ostatniego sezonu: bywa gładki lub tkany w ażurowe prążki podobne do cienkiej mereżki, haftowany w wypukłe kropeczki lub kwiatuszki, a najczęściej cały ażurowo zahaftowany w rodzaju niegdyś tak modnych t. zw. haftów szwajcarskich. Wstawki z takiego haftu wstawia się na sukniach z batystu czy surowego jedwabiu, z takiegoż haftu robi się suto marszczone falbany, któremi podszywa się dół spódnicy, na wzór dawnych „balayeuses".

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

KALTESZAL Z PORZECZEK. Litr porzeczek obranych z szypułek zagotowuje się z dwiema szklankami wody i przeciera przez sito. Do uzyskanego w ten sposób soku dosypuje się około 15 dkg cukru, zagotowuje z łupką cytrynową dla aromatu, oraz łyżką mąki ziemniaczanej rozrobionej w troszce wody. Przestudzony kalteszal miesza się z szklanką wina owocowego i stawia na lodzie. Podaje się w szklaneczkach, osobno biszkopty.

KANAPKI JARSKIE. Dokładnie ołupaną i wymytą czarną rzodkiew ściera się na tarle wraz z małą młodą cebulką, poczem dodaje się troszkę soli i łyżkę oliwy. Świeży ogórek obrany z łupki oraz parę pomidorów kraje się w plasterki i kropi cytryną. Do kanapek potrzebny nam będzie dobry twarożek, który należy utrzeć z łyżką masła. Krajanki ciemnego chleba smaruje się masłem, potem twarożkiem następnie utartą rzodkwią i okłada plasterkami ogórka i pomidorów.

PRZYSTAWKA Z RESZTEK DROBIU I GRZYBKÓW. Resztki kury (może być również pozostały kawałek pieczeni cielęcej) przemiela się dwa razy z kawałkiem rozmoczonej w mleku bułki, miesza z żółtkiem utartym z łyżeczką masła, dodaje soli i łyżeczkę siekanej, zielonej pietruszki, wkońcu pianę z pozostałego białka na muszelki natarte masłem, nakłada się warstwę duszonych grzybków, na nią warstwę arszu mięsnego posypuje smażoną bułeczką, zmieszaną z parmezanem kropi masłem i zapieka przez 15 minut w gorącym piecyku.

ZRAZIKI SARNIE W SOSIE PORZECZKOWEM. Z combra sarniego wycina się małe okrągłe zraziki, ubija je lekko, posypuje solą, pieprzem i sypką mąką, następnie smaży na rozpalonem maśle. Łyżkę masła i mąki zasmaża się na rumiano, podlewa łyżką rosołu oraz czerwonego wina, dodaje szklankę obranych porzeczek oraz szczyptę soli i cukru, zagotowuje, a kiedy porzeczki popękają przeciera się sos przez sito. 15—20 dkg cienkiego makaronu włoskiego, gotuje się w osolonej wodzie, odcedza, przelewa wodą, aby nie był kleisty i układa wokoło głębszego półmiska. Na środku kładzie się zraziki polane sosem, wzgl. możnaby też sos podać osobno w sosjerce.

FASOLKA SZPARAGOWA W SOSIE ŚMIETANOWYM. Obraną z końców i nitek fasolkę, zagotowuje się, odlewa z pierwszej wody, zalewa świeżą wodą gorącą, dodaje soli i szczyptę sody czyszczonej, poczem gotuje się fasolkę przez 20—30 minut, odcedza z wody. Łyżeczkę masła i mąki zagotowuje się razem, zalewa łyżką zimnej wody, aby się nie tworzyły grudki, poczem dolewa się pół szklanki śmietany, zagotowuje i miesza z pokrajaną w małe skośne kawałki fasolką. Jarzynę należy potrzymać w sosie przez 15—20 minut przed wydaniem. Jarzyna ta nadaje się do każdego pieczystego wzgl. może być podana z ziemniaczkami lub ryżem jako danie jarskie.

ZIMNY BUDYŃ MALINOWY. Pół litra malin zalewa się gorącą wodą tak, aby je woda nie nakrywała, gotuje przez parę minut, następnie przeciera przez sito. Uzyskany sok słodzi się do smaku, zagotowuje i podprawia dwoma łyżeczkami krondaminy (wzgl. mąki ziemniaczanej, której jednak należy wziąć trochę więcej). Mączkę tak jedną jak i drugą, należy rozpuścić w troszce zimnego soku odlanego z całości, wlać do gotującego się soku i mieszać gęstniejącą masę przez 3 minuty na ogniu. Gotową gorącą masę wlewa się do małych filiżaneczek wypłukanych zimną wodą; po ostudzeniu wstawia się je do lodówki. (Ciepłych potraw nie należy nigdy wstawiać do lodowni gdyż z tego się lodownia psuje no i lód szybciej topnieje). Zupełnie zastygłą galaretkę wybija się z filiżanek na szklany talerz i oblewa surową śmietanką, lub podaje tę ostatnią osobno. Zamiast w filiżankach można też budyń zastudzić w porcelanowej (nie metalowej) formie.

KNEDELKI Z MORELAMI. 1/4 litra mleka zagotowuje się i zasypuje wśród gotowania szklanką sypkiej mąki, ubijając łyżką na ogniu aż ciasto od ścian naczynia się odrywa, poczem dodaje się łyżkę masła, odstawia z ognia i ubija łyżką aż do ostudzenia. Następnie ubija się 1 całe jaje i 1 żółtko, i wybija ciasto mieszając je z jajami na gładką masę. Wyłożone na deskę i rozwałkowane ciasto, które się bardzo lepi, należy je więc ciągle posypywać mąką, kraje się w kwadraty, kładzie na każdym połówkę moreli i pół kostki cukru, zlepia dokładnie formując knedelki i gotuje w słonej wodzie przez 4 minuty, licząc od rzucenia ciasta na gotującą wodę, a nie od chwili zagotowania jak się to zwykle czyni. Wyjęte z wody rozrywa się knedelki dwoma widelcami, aby nie opadły, posypuje smażoną bułeczką zmieszaną z cukrem i polewa suto masłem.

LIKIER WIŚNIOWY. 1 kg ciemnych kwaśnych wiśni obiera się z ogonków i zesypuje do gąsiora. 1 kg cukru zagotowuje się z litrem wody na gęsty syrop, przestudza, dodaje litr najlepszego spirytusu i zalewa wiśnie w gąsiorze. 10 sztuk wiśni miażdży się tłuczkiem wraz z pestkami i dodaje dla aromatu i specjalnego smaku zawartego w ziarnkach pestek. Gąsior doskonale zamknięty ustawia się w miejscu słonecznem na sześć tygodni, poczem odstawia się go w spokojne miejsce aż do świąt Bożego Narodzenia. Wtedy odlewa się likier z wiśni, które można jeszcze raz zalać, ale mniejszą ilością syropu z alkoholem, druga nalewka gotowa będzie na wiosnę, słabsza ale równie dobra.

Gc. K.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAN DOMU



Jak wiadomo wyciska cebula przy krajaniu lub siekaniu jej wiele łez z naszych oczu: zaoszczędzimy ich sobie, posługując się praktycznem tarełkiem, którego ostrze przesuwa się zgóry na dół po trzymanej przy niem cebuli. Szklanny zbiornik pod tarełkiem zbiera płatki cebuli, która skutkiem tego nie drażni oczu osoby, wykonującej tę czynność.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.



Święta rzym.-kat.	Tydzień 31 — **Lipiec** — Dni 31
Niedziela **30** Abdona i Seny	Kalteszal malinowy z biszkoptami.Przystawka z drobiu i grzybków.Młoda gąska z mizerją.Kruchy placek z morelami. Kolacja: Szynka z sosem tatarskim.
Poniedziałek **31** Ignacego L.	Kanapki jarskie w miejsce zupy.Płucka w sosie cytrynowym. Rozbef z jarzynkami.Budyń malinowy. Kolacja: Szparagówka w śmietanie z ziemniaczkami.
	Sierpień — Dni 31
Wtorek **1** Piotra w Ok.	Chłodnik z głąbików na rosole.Omlet z grzybkami.Sarnie zraziki w sosie porzeczkowym z makaronem.Pianka morelowa. Kolacja: Ziemniaczki z kefirem.
Środa **2** NPM. Anielsk.	Zupa szczawiowa z twardem jajem.Budyń jarzynowy.Kaczka z duszoną kapustą lub mizerją.Placek drożdżowy z borówkami. Kolacja: Rizotto z groszkiem lub szynką.
Czwartek **3** Znal. św. Szcz.	Zupa koprowa z perłówką.Faszerowane pomidory. Potrawka z kury z knedelkami.Kompot Kompot mięszany z surowych owoców. Kolacja: Jaja perduty w śmietanie.
Piątek **4** Dominika	Zupa z świeżych grzybków.Makaron z serem zapiekany.Karp pieczony z sałatką jarzynową z majonezem śmietanowym. Krem ryżowy z sokiem owocowym. Kolacja: Kasza z kwaśnem mlekiem.
Sobota **5** NPM. Śnieżnej	Zupa jarzynowa z płatkami.Faszerowana kapusta.Podróbka gęsie w sosie z kaszką krakowską. Knedelki z morelami. Kolacja: Kalafior z masłem.



HOCKI-KLOCKI

U ADWOKATA DO SPRAW MAŁŻEŃSKICH.



Kandydatka na rozwódkę: — I cóż mam z tego, że czterokrotnie godziłam się z moim mężem i wracałam do niego?

Esquire.

SZYBKA ORJENTACJA.



— Czy to magazyn mód Brown et Co.? Czy pani nie uważa, że pod tę suknię celofanową, którą u Pani kupiłam trzeba jednak jeszcze coś włożyć?

Esquire.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

MOI KOLEDZY Z KLUBU.

Pięć panów z mego klubu nosi następujące nazwiska: p. Wierzbno, p. Żoliborz, p. Marymont, p. Mokotów i p. Wola. Każdy z nich (co za zabawny zbieg okiiczności!) mieszka na przedmieściu Warszawy, które tak się nazywa, jak jeden z jego wyżej wymienionych kolegów klubowych. Ponadto każdy z nich pracuje w dzielnicy o nazwie odpowiadającej nazwisku jednego z czterech pozostałych. Żaden nie mieszka w tej dzielnicy, w której pracuje.

Parę dni temu chciałem dowiedzieć się, który z nich pracuje na Żoliborzu. Niestety, nikt nie mógł mi dać odpowiedniego wyjaśnienia, ale zdołałem uzyskać następujące dane:

1) Pan, który mieszka na Wierzbnie, pracuje na Mokotowie, a pan Mokotów na Woli.

2) Pan mieszkający na Woli, pracuje w dzielnicy, która nazywa się tak jak kolega, mieszkający na Wierzbnie.

3) Pan Żoliborz pracuje w dzielnicy, która nazywa się tak, jak pan zamieszkujący Wolę. Który z panów pracuje na Żoliborzu?

Dokończenie ze str. 25-ej.

polskie. W parę dni potem nadchodzi od Paderewskich do Paryża wiadomość, by przysłać transport lalek do U. S. A. Pracownia pani Łazarskiej zaczęła działać, a artyści dostali zajęcie, któremu nie mogli wprost podołać. W kolonji zapanowała radość: żartowali, że pchają sieczkę w głowy lalek! — A tymczasem bezdomne dzieci polskie zbierały laury na gruncie amerykańskim. Przyjęto je z otwartem sercem i pospieszono im z pomocą. Popyt na lalki był ogromny, fundusze rosły, Paderewski po każdym koncercie występował w asyście pięknych Wojtków i Marysiek, i zbierał pieniądze, które szły na polskie ofiary wojny.

Pani Łazarska zerwała z szablonem i uczyniła z lalek przedmiot piękny, wykonany artystycznie. W Ameryce znalazły ogromne uznanie, wiele na ten temat też pisano w całej prasie amerykańskiej i wydano o tych lalkach książkę dla dzieci.

A tymczasem w Paryżu ostrzeliwanym przez nieprzyjaciela, lalki stały się niejako maskotą, przynoszącą szczęście w ciężkich chwilach. Stały się ulubioną zabawką także i dla dorosłych. Żołnierze w okopach, lub lotnicy — wszyscy mieli przy sobie laleczkę, w której pokładali nadzieje. Lalki wędrowały z nimi śród gradu kul i, jak to sobie niejednokrotnie wmawiali, broniły ich przed nieszczęściem. Zdarzało się, że lalka taka po dalekich wędrówkach, wśród wielu przygód — wracała do miejsca swego powstania...

Pewnego dnia przyszedł do pracowni pani Łazarskiej młody lotnik. Długo szukał dla siebie lalki. Z pośród wielu innych wybrał lalkę o różowych włosach. Nazwał ją „Hydrophile": nikt jednak nie wiedział, dlaczego dziwacznem mianem. Od tego czasu latała z nim przez wiele miesięcy. Towarzyszyła w ciężkich bojach powietrznych. Pewnego dnia jednak lotnik wystartował, by nie powrócić więcej. Zginął w walce. Hydrophile odnaleziona wróciła z papierami swego towarzysza do rodziny...

Nie wszystkie jednak lalki miały tak tragiczne dzieje. Nadszedł rok 1918, a z nim ostrzeliwanie Paryża. Pociski padały niekiedy na jezdnie i chodniki, to też władze poleciły ludności, by chroniła się do piwnic. Paryżanie jednak nie bardzo się tem przejmowali. Wówczas to na pomoc przychodzą Francuzom „Nenette" i „Rintintin", gdyż Paryżanie nosili laleczki jako talizmany, chroniące przed pociskami. Moda ta była powszechna: nosili je mężczyźni u klap surduta, a panie przy torebkach. W ten sposób stały się lalki modne. Pani Łazarska zrobiła początek, a potem lalki robili wszyscy i to z różnych materjałów. A kiedy w roku 1918 została urządzona w Paryżu wystawa lalek wojennych, wzięło w niej udział około stu wystawców, a lalek było parę tysięcy.

Później robiono je w różnych rozmiarach, dochodząc czasem do półnaturalnej wielkości. Były i takie, które ilustrowały nietylko polskie stroje regjonalne, ale i francuskie. Kraków miał również przed paru laty sposobność oglądania tych lalek na wystawie w 1932 roku.

Dziś p. Łazarska mieszka od paru lat po powrocie z Francji w Warszawie, dalej niestrudzenie projektując oryginalne lalki. Ujęcie ich jest dekoracyjne, co już wynika z jej podejścia do sztuki, bo Łazarska nie ogranicza się tylko do tego działu, maluje również portrety (przeważnie kobiet i dzieci), zasłużyła się także jako dekoratorka. Tak np. w roku 1925 projektowała pokój bawialny dla dzieci dla okrętu francuskiego „Ile de France" wspólnie z architektem Michel Dufet.

Obecnie lalki powędrowały na wystawę światową do Nowego Jorku, do pawilonu polskiego, by znowu przypomnieć się Amerykanom. Tym razem przyjechały już jako wolni „obywatele"! Są to niewielkie laleczki przedstawiające: krakowiaka, krakowiankę, ślązaczkę, kurpiankę itp., u których strój jakkolwiek mocno stylizowany, nie odbiega wiele od prawdy. Nie leżało jednak w założeniach autorki stworzenie martwej, choćby nawet wiernej kopji stroju podobnie jak obrazy Stryjeńskiej nie przedstawiają rzeczywistości „rzeczywistej", a tylko stylizowaną. Dla dzieci stanowią lalki te doskonały element estetycznego wychowania. Przy takich właśnie przedmiotach i już od takich zabawek zaczynając należy dziecko przyzwyczajać do rzeczy pięknych, pomysłowych i oryginalnych.

Mgr. P. Grossowa.

ZWIEDZAMY:

W krakowskim Pałacu Sztuk Pięknych otwartą została zbiorowa wystawa dzieł Jacka Malczewskiego (1855—1929). Wystawa ta trwać będzie do września i umożliwia wszystkim zapoznanie się z najcelniejszemi dziełami wielkiego artysty.

Sztuka Malczewskiego tkwiła korzeniami w swej epoce i wyrastała jedynie z osobowości przedziwnej artysty. Od Matejki przejął posłannictwo narodowej sztuki, od Francuzów werwę i znajomość wartości rysunku w malarstwie, a realistyczną formę malarską zdobył swą bezustanną od młodości pracą i talentem.

Twierdzi, iż „kto jest idealistą w sztuce, ten najwięcej się musi opierać na najsurowszym realiźmie". Malczewski urodzony liryk, wychowany przez ojca na poezji Słowackiego, twórczością swą musiał wyrazić głębię szarpiących go uczuć na temat zagadnień bytu i śmierci, wzlotów i upadków ducha, a przedewszystkiem muzykę płynącą z tej narodowej harfy, w jaką uderzali Matejko i Grottger.



Jacek Malczewski: „Autoportret".

Bogatej jaźni Malczewskiego nie wystarczały zagadnienia formy i koloru. Sztuką swoją chciał wzruszyć współczesnych, jak to czynili Matejko i Grottger. Dla tych celów posługiwał się symboliką, potęgującą nastrój uczuciowy. Symbolika Malczewskiego często opiera się nie na umownych znakach i pojęciach z mitologji, lecz na jego osobistych przeżyciach. Malczewski jednak zawsze umie wyzyskać malarsko, wprowadzone do kompozycyj fantastyczne zjawy. **mdd.**



Jacek Malczewski: „Ellenai".

TO CO NAJCELNIEJSZE

PRZECZYTAMY:



Brzeg Sekwany w okolicy ulicy Kota-Rybołowcy w XV wieku.

Herbem Paryża jest okręt, płynący na wzburzonej fali. Dumny symbol, że Paryż „fluctuat nec mergitur".

Przypomnieniem tego herbu Paryża i tej dewizy kończy prof. J. St. Bystroń książkę o Paryżu, bardzo starannie, z wielką ilością ciekawych ilustracyj, wydaną przez Książnicę „Atlas". I odrazu dodaje prof. Bystroń komentarz do finału swej książki.



Okładka T. Sopoćki do książki J. St. Bystronia „Paryż".

„Banalne zakończenie! Setki książek o Paryżu zaczynano czy kończono w tak łatwy sposób. Na dobrą sprawę możnaby ten sam frazes dostosować do większości miast, które w ciągu wieków rozmaite przechodziły koleje losów, od triumfów do klęsk. Ale w stosunku do Paryża owa dewiza wydaje nam się specjalnie trafna, jak gdyby prorocza: Niema chyba dziś na świecie wielkiej stolicy, któraby tak zmienne przechodziła losy i miała tak ogromną amplitudę wahań historycznych. Niema też chyba miasta, któreby zarówno w okresach największej świetności, jak i też katastrofy było zawsze żywe i twórcze. A więc niechże to hasło zakończy także i nasz przegląd zmiennych losów wielkiego miasta na przestrzeni dwudziestu wieków".

Przegląd losów Paryża, wyczytanych przez prof. Bystronia z jego murów, krętych uliczek i wspaniałych arteryj, pamiątek i zbiorów, oraz z wielu dzieł historycznych — jest niezwykle zajmujący, napisany bardzo popularnie, zawsze żywo, czasem tylko za skąpo, zwłaszcza, gdy idzie o oddanie atmosfery miasta, jego życia literackiego i artystycznego, jego podniet do oryginalnej twórczości. Książka ta odzwierciedla także interesująco zainteresowania autora, wybitnego socjologa i etnografa. W dziejach Paryża wyróżnić można kilka szczególnie ważnych okresów. Z nich bodaj najciekawszym dla polskiego czytelnika, bo najmniej znany, będzie okres założenia miasta, które powstało przed dwudziestoma wiekami na wyspie Ile de la Cité, jako osada rybacka, która z czasem stała się obozem Rzymian, gdy Cezar wyruszył na podbój Galji.

Pierwsze wiadomości o Paryżu mamy z I w. przed nar. Chrystusa. Historja zaś miasta zaczyna się od r. 52 przed Chr., gdy Cezar zajmuje wyspę, niszczy osadę galijską i tworzy obóz wojskowy. Za żołnierzem rzymskim przychodzi tu imponująca cywilizacja i kultura Rzymu. Dzisiejszy Paryż nosił wówczas nazwę Lutetia Parisiorum.

Drugim okresem wielkiego rozwoju miasta stało się średniowiecze. Wiek XVI jest okresem bujnego życia miasta i rozwoju jego kultury. Rozrost wszerz i wgląb zawdzięcza miasto przedewszystkiem rządom Ludwika XIII i Ludwika XIV. Okres Wielkiej Rewolucji nie zaznaczył się poważniejszemi zmianami, w wyglądzie miasta, dopiero rządy Napoleona stworzyły nową epokę bujnego rozrostu stolicy Francji. Za czasów Napoleona III wybitnym prefektem Paryża był Haussman, któremu miasto zawdzięcza nowoczesny plan przebudowy. W r. 1852 liczył Paryż zgórą miljon mieszkańców. Dziś liczy ich pięć miljonów, a fachowcy obliczają, że wkrótce dojdzie do cyfry dwunastu miljonów mieszkańców i rozciągać się będzie na przestrzeni około 80.000 ha. Plany rozbudowy miasta są bardzo śmiałe, nieraz rewolucyjne, jak np. słynnego architekty Le Corbusiera. **(swb).**

NA POLSKIEJ ANTENIE:

W n i e d z i e l ę dnia 30 bm. o godz. 14.25 usłyszymy początek drugiej księgi „Pana Tadeusza" w interpretacji M. Szpakiewicza. O godz. 17.30 podwieczorek przy mikrofonie z Augustowa, poczem o godz. 19.00 Teatr Wyobraźni nada słuchowisko p. t. „San Yust". Autorem tego słuchowiska jest poeta austrjacki F. T. Csokor. Na słuchowisko złożą się dwa fragmenty z dramatu poety o wielkim Świętym Ignacym Loyoli, założycielu zakonu Jezuitów. O godz. 19.30 audycja p. t. „Trzy słynne wirtuozki francuskie", a o godz. 21.15 koncert rozrywkowy z Grudziądza.

W p o n i e d z i a ł e k, dn. 31 b. m. od godz. 15.15 koncerty z Poznania, o godz. 18.00 dawna muzyka fletowa, a o godz. 18.50 recital fortepianowy słynnej węgierskiej pianistki Lilly Baranyi. O godz. 21.00 interesujący reportaż dźwiękowy z Szwajcarji.

We w t o r e k, dn. 1 sierpnia o godz. 15.00 muzyka góralska, o 16.20 utwory organowe w wykonaniu J. Pawlaka, o 16.45 kronika literacka, a o 18.00 recital śpiewaczy E. Bendery. O godz. 21.00 „Cyrulik Sewilski" Rossiniego w wyk. solistów i orkiestry teatru La Scala w Medjolanie.

We ś r o d ę, rn. 2 sierpnia o godz. 16.20 recital altówkowy M. Szalewskiego, o godz. 18.00 słynne symfonje, a o 19.00 „Kukułka wileńska" nada słuchowisko Z. Bohdanowiczowej p. t. „Dziwna przygoda". O 21.00 koncert chopinowski w wyk. M. Małcużyńskiego.

We c z w a r t e k, dn. 3 sierpnia o godz. 14.45 audycja dla młodzieży poświęcona Pierwszej Kadrowej. O godz. 16.20 utwory K. Prosnaka w wyk. chóru mieszanego, o godz. 19.00 audycja p. t. „Wielkie włóczęgi morskie", o godzinie 21.00 audycja p. t. „Z zapomnianych naszych pieśni", a o 21. 30 Teatr Wyobraźni nada utwór sceniczny Conrada Korzeniowskiego p. t. „Jutro". Słuchowisko poprzedzi słowo wstępne, przypominające 15-tą rocznicę zgonu znakomitego pisarza z pochodzenia Polaka.

W p i ą t e k, dn. 4 sierpnia o godz. 16.20 usłyszymy koncert budapesztańskiego chóru kolejowego, a o godz. 18.00 recital śpiewaczy Heleny Lipowskiej. O godz. 19.00 Leon Piwiński przypomni „Ludzi bezdomnych" Żeromskiego, jako książkę, do której się wraca. O godz. 21.00 pierwsza audycja z cyklu „Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych". Audycja ta poświęcona będzie utworom powstałym do komedji Szekspira. Koncert wykona orkiestra symfoniczna P. R. pod dyr. Fitelberga, słowo wstępne wygłosi S. Golachowski. O godz. 22.15 odczyt poświęcony „polskiej myśli wojskowej na granicy dwóch światów".

W s o b o t ę, dn. 5 sierpnia usłyszymy audycje będące wstępem do wielkiego święta 25-rocznicy wymarszu Legjonów pod dowództwem J. Piłsudskiego na bój o Polskę. O godz. 16.20 polonezy wykona Z. Drzewiecki, o godz. 18.00 audycja p. t. „Echa mocy i chwały", o godz. 19.00 wesoła powieść o bohaterach Szczepku i Tońku, o godz. 20.05 audycja pt. „Melodje Ziemi polskiej", a o godzinie 20.25 transmisje z Oleandrów w Krakowie, w czasie których usłyszymy także apel poległych Pierwszej Kompanji Kadrowej. O godz. 22.00 usłyszymy słuchowisko p. t. „Na polach popiołów".

Kompozycyj nadesłanych do działu Muzycznego „Asa" nie honoruje się ani co do części muzycznej ani też tekstowej — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne „IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.